Nr. 5. Warszawa, dnia 23 Stycznia (4 Lutego) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Tydzień polityczny. D. 27 z. m. w Wiedniu Izba dep. rozprawiała nad żądaniem Niemców, aby znieść osławiony § 14, pozwalający rządowi obywać się bez uchwał sejmowych. Gdy już p. Daszyński obrzucił rząd i prawicę klątwami, a vice-prezes Kramarz odgarniał je i strząsał, z galeryi, z loży dziennikarskiej zawołano: „bravo!" Przekroczenia tego dopuścił się niejaki Peniżek, korespondent *Narodnich Listów*. Zanim prezes Fuchs zdołał zawezwać arbitrów do spokojności, wtargnął na galeryę Wolf z dwoma socyuszami i rzucił się na Peniżka. Jedną pięść miał uzbrojoną w głowołomne narzędzie, używane przez opryszków. Zrobiło się zbiegowisko. Czech Pospiszyl dostał od Niemca Girstmayera w kark; Niemiec Girstmayer od Czecha Pospiszyla w twarz. Jakby na hasło zaczęto strzelać policzkami; statystyka wypadku zapisuje ich ze dwadzieścia na rachunek samego Wolfa. W zgiełku Fuchs zawiesił obrady bez odroczenia. Rozdzielono wreszcie walczących i opróżniono galerye i salę. Na pierwszem po całej tej parlamentarnej funkcyi posiedzeniu Izby prezes, wymierzywszy karę na dziennikarza, niemiejącego utrzymać języka za zębami, w niezmiernie łagodnych, lękliwych wyrazach dał ujście żalowi swemu nad gwałtownością deputowanych, którzy nie umieli zapanować nad nogami i rękami swemi i wywołali zgorszenie

Izba wiedeńska została w d. 31 stycznia odroczoną.

Na Węgrzech zanosi się na zgodę opozycyi z rządem. Banffy ustąpi.

Rząd francuski złożył w Izbie projekt uchwalania rewizyi przez ogólne zgromadzenie sądu kasacyjnego. Przed komisyą Izby staną będący pod zarzutem stronności Bard, Dumas, Loew i Manau. Sąd ponownie przesłuchał p. Hanotaux i generałów. Śledztwo podobno już ukończono.

Na Filipinach Aguinaldo ogłosił rzeczpospolitą niepodległą. Co też poczną przyjaciele ludzkości, w jej imieniu wydzierający wyspy Hiszpanom? W Stanach Zjedn. zaczyna się organizować stronnictwo przeciwne wielkiej, wszechświatowej polityce rzeczypospolitej. D. 6 b. m. ma senat wziąć traktat z Hiszpanią do zatwierdzenia.

Cesarz Wilhelm d. 30 z. m. półtorej godziny spędził u posła rosyjskiego, hr. Osten-Saken.

W Chinach cesarzowa urządza następstwo tronu, z pominięciem dzisiejszego cesarzacienia.

Sejm japoński ofiarował mikadzie 20 milionów yenów odszkodowania za ofiary dla kraju. Bogaty kraj!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRZYCZYNY NIEBEZPIECZEŃSTWA.

Niedawno przewinęło się przez szpalty pism codziennych kilka drobnych doniesień i pogłosek, że wyższe sfery ministeryalne, z powodu licznych wypadków na kolejach żelaznych, zażądały danych o warunkach pracy maszynistów i wogóle służby ruchu, że podobno zamierzono wprowadzić pewne reformy, ulgi w tej pracy, gwoli bezpieczeństwu publicznemu. Czas już wielki istotnie pomyśleć o tem. Do pogłosek tych wszakże trudno przywiązywać jakąkolwiek wagę, gdyż powtarzają się one stale po wypadkach i katastrofach. Zresztą gdyby nawet żądano takich informacyj, nie wywołałyby one natychmiastowych reform zasadniczych, gdyż na to potrzebne są nie wiadomości dorywcze lub ich strzępki, lecz cały dokładny, zupełny obraz warunków pracy i bytu licznych rzesz urzędników i oficyalistów, tudzież stan techniki w całym złożonym systemie komunikacyi kolejowej, zarówno w dziale ruchu, jak i biurach, od najpodrzędniejszych do najwyższych. Materyał taki może być przedyskutowany tylko na zjazdach kolejowych, których zadaniem powinna być troska o bezpieczeństwo publiczne, w związku z postępem techniki i warunkami bytu licznej armii, obsługującej machinerye komunikacyjne. Zjazdy takie o charakterze międzynarodowym odbywają się co parę lat, a materyał roztrząsany na nich jest wielce ciekawy dla ekonomistów i wogóle publicystów. Cóż z tego jednak, kiedy wyniki owych wieców i narad w znacznej części nie wychodzą po za szuflady i półki archiwalne!

Gdyby te wszystkie projekty i wnioski, przelane przez usta rajców i szpalty dziennikarskie, dały się zebrać i zmateryalizować, można byłoby z nich zbudować kilkadziesiąt tysięcy kilometrów linij kolejowych. Gdyby zaś przedsiębiorstwa komunikacyjne mogły jakim cudem zwrócić sobie te wszystkie straty, spowodowane rozbiciem się pociągów, popsuciem torów, pokaleczeniem i uśmierceniem ludzi, których pretensye, zanoszone przez żyjących lub rodziny zabitych i umarłych z pokaleczenia, muszą być zaspakajane przymusowo lub dobrowolnie — to sumy owych strat dałyby możność nietylko podwojenia lub potrojenia liczby pracowników na liniach, w telegrafie i niektórych biurach, oraz na poprawienie ich bytu, ale nawet na wszelkie najdoskonalsze ulepszenia techniczne.

To są życzenia, a tymczasem stan rzeczy w cyfrach tak się przedstawia (według czasopisma *Engineer*). Przeciętne cyfry wykazują, iż jeden zabity przypada:

w	Rosyi	na	116,541	podróżnych,
„	Anglii	„	1,660,000	„
	[illegible]	„	1,760,000	„
„	[illegible]	„	2,400,000	„
	Belgii	„	5,000,000	„
„	Prusiech	„	11,500,000	„

Tak więc pod względem liczby zabitych Rosya zajmuje pierwsze miejsce, a Prusy — ostatnie. Niebezpieczeństwo podróży kolejami u nas w porównaniu z Zachodem tem jaskrawiej się przedstawi, gdy weźmiemy pod uwagę szybkość jazdy dwa razy u nas mniejszą, niż w Europie zachodniej.

Kuryer Warszawski, cytując kilka cyfr powyższych, zaznacza te braki, któreśmy już nieraz wykazywali w *Prawdzie*: „Przedewszystkiem dochodzą nas ustawiczne

skargi na przeciążenie pracą służby kolejowej, od której stopień bezpieczeństwa zależy. Jeżeli pomocnik zawiadowcy np. w Rudzie Guzowskiej na pociąg „exsspr.“ do Nizzy puścił pociąg roboczy, czyli jak wykazuje śledztwo służbowe, zapomniał o tym pociągu nadzwyczajnym, kursującym raz na tydzień, to przyczyna owego zapomnienia spoczywa poniekąd w zmęczeniu i przepracowaniu oficyalistów kolejowych, w wyczerpaniu ich dyżurami nocnymi, braku należytego odpoczynku. Drugi powód lichego spełniania obowiązków kryje się w lichem uposażeniu. Tylko od należycie wynagradzanego urzędnika można spodziewać się i wymagać sumiennego spełniania obowiązków. Trzeci powód — to nie zawsze odpowiednie uzdolnienie. Nie twierdzimy, ażebyśmy nie posiadali sumiennych i gorliwych pracowników; lecz jeżeli protekcya roztoczy skrzydła, wtedy następuje to, co nastąpić musi — wypadek, dzięki niewłaściwości wyboru. Czwartym punktem wadliwej gospodarki kolejowej jest przesadna oszczędność, a następnie zbytnia biurokracya. Nadmiar rozporządzeń, wyjaśnień, tłomaczeń, korespondencyj i raportów najrozmaitszego rodzaju, głównie pisanina, która pochłania uwagę i czas oficyalisty kolejowego, umęcza go i odrywa od zajęć ważniejszych — wszystko razem składa się na to, że bezpieczeństwo jazdy na kolejach szwankuje.“

Przeciążenie, zwłaszcza służby, obsługującej stacye, linie i pociągi, pomimo różnych wniosków, a nawet zarządzeń, dotychczas jest tak wielkie, że poprostu dziwić się trzeba, jakim sposobem takie nadużycie sił ludzkich i bezpieczeństwa publicznego może uchodzić płazem. Płace zaś są tak niskie, że przy obecnej drożyznie wprost niemożliwe jest utrzymanie rodziny bez pobocznych dochodów. Co do pisaniny, dość przejrzeć księgi, blankiety i raporty, stanowiące główną czynność kancelaryjną, ażeby się przekonać, jak dużo czasu i sił ludzkich idzie na marne.

Otóż chcąc chociaż w części usunąć źródło złego, należałoby przedewszystkiem wprowadzić niezwłocznie następujące zmiany zasadnicze: 1) Maszynistom dać takie uposażenie, ażeby się mogli utrzymać bez tak zwanych milowych i wiorstowych, ten zaś dodatkowy zarobek usunąć zupełnie. 2) Określić maksymalną liczbę lat i godzin pracy maszynistów, oznaczyć dla nich dni zupełnego wypoczynku, zapewnić byt po wyjściu ze służby. 3) Podwoić i potroić liczbę zwrotniczych, telegrafistów, stróżów obsługujących linie, zmniejszyć ciężar czuwania zawiadowców stacyj i ich pomocników sposobem rozłożenia pracy na innych. Usunąć system forsownej protekcyi, która dziś nietylko opiera się na stosunkach, tendencyach i wpływach, ale nawet na pewnej taksie pieniężnej. Są znane fakty wyrabiania posad na kolejach—za pieniądze i zachowaniem dyskrecyi. 4) Raz na zawsze rozstać się z systemem oszczędności, którego zadaniem jest jak najmniejsza płaca i liczba pracowników, a celem mimowolnym — straty olbrzymie, spowodowane wypadkami i katastrofami. 5) Obmyślić system, upraszczający korespondencyę, sprawozdania i rubryki w księgach kancelaryjnych. 6) Wreszcie — rozłożyć równomiernie pracę. Dziś widzimy prawie powszechnie w przedsiębiorstwach kolejowych nadmiar jej, spadający na personel niższy, gdy tymczasem w pewnych wydziałach starszyzna jest poprostu zażenowana jem próżniactwem.

To są warunki najważniejsze, które przy obecnym stanie rzeczy podsycają źródło niebezpieczeństwa publicznego.

LISTY PETERSBURSKIE.

Prasa rosyjska o Mickiewiczu.

Z powodu odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie kilka pism rosyjskich umieściło artykuły dość obszerne, w których panuje rozstrój różnorodny, wogóle jednak przeważa nuta sympatyczna. Między innemi *Birżewyja Wiedomosti* poświęciły prawie cały numer naszemu wieszczowi. „Dziś jest uroczystość — czytamy w artykule „Święto ducha“ — poświęcona jednemu z szermierzy, który w poszukiwaniu powszechnego królestwa ducha, złożył wielką ofiarę ludzkości.

P. Jasinskij, redaktor *Birżewych Wied.* i autor obszernego artykułu p. t. „Mickiewicz i Puszkin,“ zaznacza, jakkolwiek niezdecydowanie, te „dane,“ wydobyte z powietrza, że Mickiewicz jest pochodzenia rosyjskiego i jednocześnie bardzo roztropnie nadmienia, iż to twierdzenie było obalone. Nie o pochodzenie wszakże mu chodzi, ale o to, że Mickiewicz jest Słowianinem i wielkim poetą.

W paraleli dwu wielkich poetów autor utrzymuje do pewnego stopnia słusznie, że Mickiewicz pod względem charakteru swej twórczości bardziej jest zbliżony do Niekrasowa, niż Puszkina. Tymczasem Mickiewicza „porównywają zazwyczaj tylko z Puszkinem...“

O stosunku dwu wielkich poetów p. Jasinskij tak pisze: „Cała energia duchowa obu dążyła w przeciwnych kierunkach. Czasem z sobą się schodzili, ale tylko czasem. Puszkin, odznaczał się wielką szlachetnością i delikatnością uczuć, które nigdy nie doprowadzały go do obrażania bliźnich z własnych bodźców. Lubił on Mickiewicza, pisał dla niego wiersze, tłomaczył go, zachwycał się nim. Tymczasem Mickiewicz w gruncie rzeczy nie lubił Puszkina, ostatecznie ujawnił to w jednym ze swych wierszy, co wywołało pełen żalu wiersz Puszkina: „On pośród nas był...“

Charakterystykę Mickiewicza, dość niedokładną i miejscami mylną, odznaczającą się brakiem głębokiego wniknięcia w ducha twórczości naszego wieszcza, p. Jasinskij kończy tak: „Niedawno wzniesiono pomnik Murawjowa w Wilnie. Krążyły pogłoski, że w Warszawie będzie wzniesiony pomnik Suworowa; tymczasem powstał posąg Mickiewicza, i to wzniesiony dzięki składkom narodu. Czy ta okoliczność nie świadczy, że pomnik wileński nie ma charakteru tendencyjnego i że tym sposobem nie chciano obrażać polskich uczuć narodowych? Zapewne, Mickiewicz nie był przyjacielem Rosyi, a nawet nie był przyjacielem tych Rosyan, którzy go kochali i wstawiali się za nim. Ale rząd rosyjski pozwolił wznieść pomnik dla niego i tym sposobem pierwiastki polskich

---

Oliwia Schreiner.

SEN W CIEMNĄ NOC

(przekład z angielskiego).

Korona miała cudny deseń: oddzielne jej części różniły się pomiędzy sobą, lecz jednocześnie, zlewając się razem w niepojętej harmonii, tworzyły przepiękną całość. Jednego tylko nie mogłem zrozumieć:

— Skądże wie każdy robotnik, gdzie wprawić swój kamień, aby nie psuć wzoru?

— W świetle, padającem z jego skroni, każdy widzi cieniutkie, lecz stałe kontury całej skończonej korony.

— A w jakiż sposób kamienie przystają do siebie tak szczelnie, że nie widać przerw między nimi?

— Bo one są żywe i rosną.

— A jakąż nagrodę otrzymują robotnicy za swoją pracę?

— Nagroda ich polega na tem, że widzą, jak wypełnia się ta część wzoru, nad którą pracują.

— Alež kamienie, wprawione wcześniej, pokrywają się przez następne, a robota dzisiejsza zniknie pod pracą przyszłości.

— Istotnie, dolne kamienie pokrywają się przez górne, lecz blasku swego przez to nie tracą. Blask całej korony jest jednocześnie blaskiem każdego kamienia, bez tych małych części nie byłoby całości.

Kiedyż cała korona będzie ukończoną?

— Spójrz w górę — rzekł Duch. A gdy podniosłem oczy, ujrzałem, że szczytu korony nie widać, gdyż tonie on w obłokach.

A gdym znów potem spojrzał na koronę, paląca tęsknota i pragnienie owładnęły mną.

Tak tęskni matka po dziecku, które jej śmierć zabrała, tak w rozłące przyjaciel rwie się do przyjaciela, tak gasnące spojrzenie pożąda uchodzącego życia. Tak pożądałem i ja, lecz żądza moja była jeszcze silniejszą, jeszcze bardziej palącą.

I w nieprzebranej tęsknocie zawołałem do Ducha:

— I ja chcę tu pracować, i ja chcę wkładać brylanty w tę cudną koronę, aby wnieść swą maleńką ofiarę do ogólnego skarbca. I choćbym tu lata pracował i nie znalazł ani jednego kamienia, będę czuł przynajmniej obecność tych ludzi, usłyszę ich radosne okrzyki, gdy znajdą nowy kamień będę radował i cieszył się razem z nimi i razem z nimi będę widział, jak rośnie korona!

Pragnienie zbudzone w mojej piersi było tak wielkie, że wydało mi się, iż i od mego czoła szły słabe promienie światła. Duch zapytał:

— Czy nie słyszysz śpiewu w ogrodach?

— Nie — odparłem — przestałem słyszeć i czuć; widzę tylko koronę.

Ogarnęło mnie ogromne wzruszenie. Zapomniałem o kwiatach, które widziałem w niebie przed chwilą i nie słyszałem śpiewu. Postąpiłem naprzód, zrzuciłem z siebie płaszcz i nachyliłem się, aby schwycić olbrzymią łopatę. Ale nie mogłem poruszyć jej nawet z ziemi.

— Jakże mogłeś myśleć—rzekł mi Duch z ironią — że swemi karlemi siłami podniesiesz tę łopatę? Weź swój płaszcz i chodź.

Obejrzałem się raz jeszcze na połyskującą wszystkimi kolorami tęczy koronę, teraz już moją, za którą gotów byłem oddać swoje życie.

Podnosiliśmy się wciąż wyżej, a powietrze stawało się coraz rzadsze. Na naszej drodze nie kwitło ani jedno drzewo, ani jedna roślina. Oddech mój stawał się coraz częstszy i trudniejszy, krew powoli płynęła w żyłach.

— Czy i to są niebiosa? — spytałem.

— To są najwyższe niebiosa — rzekł Duch.

Wspinaliśmy się wciąż wyżej, lecz coraz trudniej mi było: wreszcie nie mogłem wytrzymać.

ne[illegible] narodowych, zasługujące na poszanowanie i współczucie znalazły ujście przez postać Mickiewicza, w którym nietylko Polska, ale i Rosya czci ostatniego (?) wielkiego Polaka. Zbliżenie jeszcze raz stało się faktem.“

Między innymi artykułami, poświęconymi w *Birż. Wied.* pamięci naszego poety, znajdujemy sylwetkę biograficzną, pełną błędów i niedokładności, wreszcie „Odę do młodości,“ która w przekładzie p. Kremlewa wyszła bardzo słabo.

Inne pisma, podkreślając obecną uroczystą dla nas chwilę, podały artykuły o Mickiewiczu, mniej lub więcej sympatyczne, niektóre z pewnem oświetleniem politycznem; inne zamykające w sobie pobieżną ocenę twórczości wieszcza, większość zaś z konkluzyą podobną do wywodów p. Jasinskiego. *Peterb. [illegible]* dały fejleton dość obszerny, z którego między innemi zasługują na uwagę te słowa: „W drgającem, wstrząsającem milczeniu Warszawa witała odsłonięcie pomnika wielkiego poety polskiego. Śród nieustannej zmiany czasu, osób, wypadków i wrażeń, które wypełniają życie, jest coś stałego, przekazywanego z pokolenia do pokolenia. Naród każdy zachowuje wspomnienia o uczuciach, nurtujących w nim, a przybytkiem, który chroni te skarby ducha narodowego, jest poezya. Ona nadaje kształt i wyraz wszystkim uczuciom narodowym i powszechnym. W niej tkwią zarodki miłości, nienawiści, wesela i cierpienia, ona jest niezapomnianym pomnikiem życia narodowego. Nie można więc dziwić się tym hołdom nadzwyczajnym, które ziomkowie składają Mickiewiczowi. Oni wywieźli prochy jego z Francyi i pochowali w grobach królewskich na Wawelu w Krakowie; oni wznieśli mu tam i w rożnych mniejszych miastach pomniki.“

W innem miejscu czytamy: „Oprócz znaczenia narodowego Mickiewicz pozostanie wielkim poetą dla całej ludzkości, jako natchniony piewca przyrody i głębokich nastrojów duszy — miłości i radości, smutku i cierpienia, nadziei i rozczarowań, słowem — uczuć, które żyją w każdej duszy i znajdują echo w każdem sercu. Umiejąc z wysokości spoglądać na życie, umiał też odróżniać rzeczy czasowe od wiecznych, do których duch jego podążał i przez usta Puszkina, swego przyjaciela, przekazał nam jako testament poetyczny swoje marzenia o upragnionych czasach, gdy narody zapomną waśni. Niechże ten testament wieszcza polskiego będzie pochodnią pojednania dwu wielkich narodów słowiańskich! Niech ta pochodnia jasno płonie nad jego pomnikiem.“

Nowoje Wremia zamieściło artykuł o Mickiewiczu z trzema jego portretami oraz widokami domów w Kownie i Konstantynopolu. W artykule czytamy: „Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że imię Mickiewicza oddawna stało się dla Polaków jakimś wyrazem magicznym, posiadającym przedziwną władzę budzenia szlachetnych porywów duszy i zapalania ognia zachwytu, nie trudno nam będzie przewidzieć, jaką podniosłość uczuć wywoła ta uroczystość śród namiętnej narodowości polskiej. (Artykuł pisany przed odsłonięciem pomnika). Mickiewicz niepodzielnie zjednoczył swoje imię z całym okresem życia społecznego polskiego, przepełnionego bólem, pomyłkami ciężkiemi, rozczarowaniami gorzkiemi. Dlatego właśnie poeta jest tak drogim sercu całego narodu, że i w ciężkich chwilach żył on z nim jednem życiem, odczuwał jego pohańbienie, bolał jego cierpieniem. Wnosić trzeba, że ten właśnie ścisły związek poety z narodem przeważnie pomógł wieszczowi wyświadczyć tę niedającą się ściśle obliczyć przysługę w dziedzinie mowy ojczystej. Przysługa ta uczyniła imię jego świetlaną gwiazdą sławy narodowej.“

Obok powyższego artykułu, poprzedzającego uroczystość, wiele są charakterystyczne korespondencye p. Lalina, który swoje pospieszne sądy i spostrzeżenia puścił na szpalty wielkiego dziennika wązkim i płytkim strumieniem reporterskim. O chwili odsłonięcia pisze: „Spostrzegliśmy ogólne usposobienie mas do milczenia podczas uroczystości. Wydało się to nam dziwnem, że ludzie nie usiłowali w jakikolwiek sposób wyrazić swoich uczuć w chwili, gdy wzruszenie jest objawem tak naturalnym, kiedy, pod wpływem [illegible] po-mawiają usta i kiedy to najczęściej wykrzykuje się coś w rodzaju „hura.“ Okazuje się, że takie było dane publiczności hasło, poparte przez prasę polską.“ Milczenie to, jak dowodził mi pewien Rosyanin, świadczy o ścisłej karności, stwierdza ze strony Polaków zdolność panowania nad sobą. Dodać muszę, że w wigilię odsłonięcia pomnika ten sam Rosyanin całkiem poważnie przepowiedział na dzień następny jeśli nie katastrofę, to jakąś szczególną demonstracyę hałaśliwą. Takich ludzi w żaden sposób nie można zadowolić. Według nich, jeżeli niema nieszczęścia, to znaczy, że jesteśmy w przededniu nieszczęścia... Wszystkie przepowiednie, których się tutaj nasłuchałem, są owocem wyobraźni pesymistycznej i jednostronnej.“

Ten sam korespondent, odbiegając, jakzaznaczyliśmy, od rzeczy, wynalazł w Królestwie Polskim drugiego księdza - fanatyka podobnego do Bilakiewicza, który tak samo „torturuje“ parafian. Wogóle p. Lalin jest pochopny do dawania posłuchu plotkom i umieszczania w korespondencyi takich szczegółów, których nie potrafiłby umieścić poważny i szanujący się publicysta.

Wracając do Mickiewicza, zaznaczyć musimy, że między innemi zabrały głos także prowincyonalne pisma rosyjskie. *Odesskij Listok* poświęcił cały fejleton wielkiemu poecie. Znajdujemy tam także historyę jego pobytu w Odesie. Autorowi artykułu oddać trzeba sprawiedliwość, że szczegóły czerpał bezpośrednio z dobrego źródła (od Karola Marchlewskiego).

Paweł Krzyżanowski.

Statystyka Galicyi.

I.

Ostatni „Rocznik statystyki Galicyi,“ wydany przed kilku miesiącami przez krajowe biuro statystyczne we Lwowie, pod kierunkiem d-ra Tadeusza Rutowskiego, daje doskonałą podstawę cyfrową do zrozumienia stanu tego kraju. Wyczerpującym i wszechstronnym on także nie jest; brak w nim danych co do kwestyj tak zasadniczych, jak rozkład własności rolnej, statystyka handlu z innymi krajami, a szczególnie razi całkiem dowolnie, z mnóstwem opuszczeń i niekonsekwencyj przeprowadzone porównanie Galicyi z innemi prowincyami Austryi. Ale i ten materyał urzędowy wystarcza, aby wyrobić sobie przekonanie nietylko o fizyologii, lecz także o psychologii kraju.

Galicya obejmuje tak pod względem terytoryalnym, jak i ludnościowym, *przeszło czwartą część* Austryi. Z obszaru państwa o 300,013,61 klm. kw. przypada na Galicyę 78,496,84, tj. 26,16%, zaś z ludności (podług spisu z d. 31 grudnia 1890 r.) 23.895,413 —

— Brak mi oddechu! — rzekłem.

— Czy dlatego, że powietrze jest tu czyste? — zapytał Duch.

W głowie mi się mąciło, na końcach palców wystąpiła krew. Ale w tej chwili stanęliśmy właśnie na szczycie góry.

Zrazu nie ujrzałem tu ani jednej żywej istoty, lecz wkrótce wdali na szczycie samotnym spostrzegłem stojącą postać. Nie mógłbym powiedzieć, czy to była kobieta, czy mężczyzna: formy jej wydawały mi się kobiecemi, lecz rozmiary męzkimi. Spytałem Ducha o nią.

— Niema tu ani kobiet, ani mężczyzn — odparł — różnica płci istnieje tylko tam, na dole. Im wyższe niebiosa, tem mniej różnicy; tutaj niema jej wcale.

Ujrzałem, jak olbrzymia ta postać nachylała się, widziałem potężne rozmiary jej ręki, ale nie mogłem pojąć, co ona czyniła.

— Jak dostała się tu ta istota? — zapytałem.

— Wzniosła się po krwawej i ciernistej drodze. Z ostatniego kręgu, z samego dna piekła, ze stopnia na stopień wdzierała się i przeszedłszy całe piekło, nie dosięgnąwszy nieba, zawisła w przestrzeni między dwoma światami. Tu przepędziła długie lata w okrutnej krwawej walce; o każdej godzinie każdego dnia natężała ona wszystkie swoje siły, aby wznieść się wyżej. I podczas, gdy tak walczyła, gdy ciało krzepło i rosło w siły, jej stare znoszone odzienie opadało z niej szmatami. Każdy stopień, na który się wzniosła, oblewała swym potem i krwią, aż wreszcie dosięgła szczytu.

Podczas gdy Duch tak mówił, ja znów przypomniałem sobie tych ludzi, którzy tam w ogrodach śpiewali i kochali się, przypomniałem sobie robotników pracujących wspólnie na stoku góry, i zrobiło mi się ogromnie smutno na tym szczycie.

— Czy tu nie strasznie w samotności? — zapytałem ze drżeniem.

— Nigdzie niema samotności — rzekł Duch.

— Jakiż cel osiąga ta istota? Jaka jest jej nagroda?

Wtedy Duch dotknął oczu moich: ujrzałem, jak pod nami w nieskończonej przestrzeni rozwarły się niebo i piekło, i stało się dla mnie widocznem wszystko, co było w jednem i drugiem.

I rzekł Duch:

— Dla stojącego na tej wysokości odkryty jest wszechświat cały. Widzi on zorzę na niebie, kwiaty, rozwijające się w jej blaskach, strumyki, połyskujące śród skał. Ucho jego chwyta radosne okrzyki pracujących na górze, widzi on, jak rośnie korona i jak coraz silniejszy blask dokoła siebie rozlewa. Przed okiem jego nie ukrywa się piekło, i on jeden wie, iż są drogi, które z niego prowadzą do góry. Dla niego piekło — to ziarno posiewu, z którego wyrastają niebiosa. Jego wzrok widzi krążenie soków fizycznych do samych głębin wszechświata.

I znów spojrzałem na postać samotną, która pochyliła się nad czemś, a blask szedł od jej oblicza.

— Cóż ona robi? — spytałem.

— Uderza w struny harfy — odrzekł Duch.

A gdy dotknął mych uszu, usłyszałem melodyę, o jakiej nie miałem pojęcia. Długo, długo stałem zasłuchany bez ruchu i dźwięku, wreszcie wyszeptałem:

— O, tak, to jest niebo istotnie! A gdy Duch spytał, czemu płaczę, milczałem, gdyż nie mogłem z radości ani słowa wymówić.

A stojąca na szczycie istota zwróciła ku mnie swoje oblicze, i światło jej padło na mnie. Wtedy otoczył mnie blask taki, że przestałem rozróżniać oddzielne przedmioty, nie umiałem powiedzieć, gdzie Duch, gdzie ja, gdzie ta istota promienna; wszyscyśmy się zlali w jedną niepodzielną całość. I zawołałem w ekstazie: „Gdzieś Ty, o Duchu?!“ lecz odpowiedzi nie było... tylko dźwięki i światło...

Gdy nieco ochłonąłem, światło osłabło o tyle, że mogłem rozróżnić oddzielne przedmioty; ujrzałem wtedy, że stoję na górze, otulony w swój szary płaszcz, a Ducha i sa-

6,607,816, t. 27,65%. Ujawnia ludność przytem bezustannie dążność do wzrastania w tempie niesłychanie szybkiem, szybszem, niż wszystkie inne prowincye austryackie, wyłączając Austryę Niższą (napływ do Wiednia) i Bukowinę. I tak wynosił średni roczny przyrost ludności w obszarze 1 klm.: w Czechach od r. 1857—69 tylko 0,68%, w Galicyi — 1,38%; od r. 1880 1890 w Czechach 0,52%, w Galicyi 1,08. Inne kraje mają przyrost jeszcze mniejszy; nawet Szląsk, nawskróś przemysłowy, tylko w okresie 1870—80 okazał cokolwiek szybsze tempo wzrostu i to zapewne dzięki napływowi robotników obcych. W całej Austryi przeto Galicya wydaje najwięcej ludzi, a ten fakt wystarcza do wytłomaczenia wszystkich zjawisk, objętych nazwą „nędzy Galicyi.“ Nowoczesna nauka odegnała widma teoryi Malthusa, Galicya wszakże znajduje się w tak szczególnych warunkach, że tutaj owa teorya może jeszcze mieć zastosowanie. Zobaczmy, jak ta ludność jest uzbrojona do walki o byt.

Na 1 klm wypada w Galicyi obecnie 84 mieszkańców (w Czechach 113, w Austryi Wyższej 66, w Salzburgu 24, w Karyntyi 35). Gęstość zaludnienia jest więc bardzo znaczną, szczególnie skoro się uwzględni, że południową granicę kraju zajmuje pas bardzo górzysty. W ludności tej przeważają mężczyźni liczebnie nad kobietami w stosunku 1000 : 1027; pod względem wyznaniowym wykazywała ona w roku 1890: rzymsko-kat. 2,997,430 (45,4%), grecko-kat. 2,790,449 (42,3%), grecko-wschodn. 1,429, mojżeszowego 772,213 (11,7%), protestantów 43,279 (0,6%). Wyznanie nie jest jednoznacznem z narodowością, gdyż do polskiej pszyznało się 2,509,183 (między tymi prócz ludności rzymsko katolickiej prawie wszyscy Żydzi), do rusińskiej 2,835,674, do niemieckiej 227,600. W każdym razie jest to kraj pod względem wyznaniowym i narodowościowym bardzo zmieszany, naprzeciwko siebie stoją dwie armie liczebnie równe, a klinem w każdą wbija się żydowska. Komplikuje to i utrudnia życie i rozwój kultury w wysokim stopniu.

Oświata tej ludności jest nizka. Pod tym względem zajmuje Galicya w Austryi jedno z miejsc ostatnich: za nią stoi tylko Bukowina i Dalmacya. Na 100 osób powyżej 6-go roku życia umie czytać i pisać 27,39 mężczyzn i 18,14 kobiet (w Czechach 93 mężczyzn, w Tyrolu 92, na Szląsku 87). Cyfry przedstawią się jeszcze smutniej, skoro weźmiemy w rachubę mężczyzn w wieku dojrzalszym; powyżej 20 roku umie czytać i pisać mężczyzn tylko 24,44, zatem wypada 75% analfabetów. A pod względem zawodowym? Na 10,000 ludności pracuje przy rolnictwie i leśnictwie 8,388, przy przemyśle 626, przy handlu i komunikacyi 499, przy służbie publicznej i zawodach liberalnych 487.

Przyjrzyjmy się tym ogólnym cyfrom bliżej.

Oświata. Kraj ma gmin 6,065. Przypada na nie szkół ludowych w r. 1886: publicznych 3,390, prywatnych 205, razem 3,595. W r. 1896 było szkół razem 4,369. Przybyło zatem w ciągu dziesięciolecia 774, tj. 21%. Nie wszystkie jednak wykazane na papierze istnieją w rzeczywistości. W r. 1886 było ludowych *nieczynnych* 183, w 10 lat później — 296, czyli że liczba szkół nieczynnych zamiast zmniejszać się, wzrosła o 161%. Tu przychodzi punkt, przez statyków i publicystów urzędowych zawsze wstydliwem pomijany milczeniem. Chodzi o cyfrowe ujęcie *jakości* szkół, bo trudno zadawalać się mechanicznem powiększaniem ich liczby, aby w ten sposób imponować. W tym kierunku zdobędziemy odpowiedź, biorąc pod uwagę *ilość klas i sił nauczycielskich* każdej szkoły; naturalną jest rzeczą, że im zakład naukowy ma ich więcej, tem lepszą i korzystniejszą jest nauka. Otóż w r. 1893/4 (podług „Oester. Staatswoorterbuch“) wynosiła liczba dzieci w wieku szkolnym: w Galicyi 1,021,363, w Czechach 1,026,956, zatem prawie *jednakowo*; ale w Czechach uczęszczało do szkoły 1,010,704 dzieci (98,4%), w Galicyi zaś 660,105 (64,6%). Szkoły galicyjskie publiczne w liczbie 3,694 rozpadały się na 3,011 *jednoklasowych*, 382 dwuklasowych, 63 trzyklasowych, 179 czteroklasowych, 32 pięcioklas., 23 sześciokl., 4 siedmiokl. W Czechach było jednokl. 1,120, dwukl. 1,521, trzykl. 873, czterokl. 435, pięciokl. 757, sześciokl. 87, siedmiokl. 14. Przy szkołach galicyjskich publicznych pracowało 10,722 nauczycieli, przy czeskich 21,502. W rezultacie mamy: na 100 dzieci w wieku szkolnym, uczęszczających: w Austryi Wyższej 99, w Czechach, Szląsku, Salzburgu 98, w Galicyi — 64; na 10,000 ludności przypada szkół: w Austryi Wyższej, Karyntyi, Morawii 10, w klerykalnym Tyrolu 18, w Czechach 9, w Galicyi — 5; na jedną siłę nauczycielską przy szkole przypada dzieci: w Austryi Niższej 37, w Czechach 45, w Tyrolu 32, w Galicyi — 59; pod względem, może najbardziej decydującym o korzyściach nauki, pozostaje Galicya w tyle nawet za Dalmacyą i Bukowiną, a gorzej od niej przedstawia się jedna tylko Kraina.

Pod względem narodowościowym odpowiadają galicyjskie szkoły ludowe w zupełności stosunkom faktycznym; język wykładowy polski ma między niemi 1,985 (47,82%), rusiński 2,129 (51,29%), niemiecki 37. Specyalnością galicyjską są szkoły zorganizowane a nieczynne; nieczynnych dla braku nauczyciela było 207, a dla braku budynku i nauczyciela 272. Praktycznie nazywają te przyczyny nizkością płac nauczycielskich. Powodują one bardzo często ucieczkę nauczycieli, przerzucanie się do innych, popłatniejszych, choć mniejszym szychem frazeologicznym świecących zawodów. W tym kierunku statystyka cyfr nie podaje. Przypływ seminaryów nauczycielskich jednak zwiększa się z każdym rokiem; w 1875 uczęszczało do seminaryów 421 uczniów i 288 uczenic, w 1895 1,916 i 694. Świadczy to o garnięciu się młodzieży do nauki i o tem, że kraj nie umie z tego korzystać.

Wogóle popęd do nauki i „zawodów wyzwolonych“ jest znacznym. W r. 1880 miała Galicya gimnazyów i szkół realnych 28, a w nich 10,840 uczniów, jeden uczeń przypadał na 549 mieszk.; w r. 1896 było zakładów 34, a uczniów 16,507, tj. jeden na 421 m. Dzieje się to mimo trudności, jakie spotykają młodzież szkół średnich w postaci wysokich opłat i mundurów, zaprowadzonych w ostatnich latach dla zapobieżenia „hyperprodukcyi inteligencyi.“ W odpowiednim stosunku rośnie też zastęp obu uniwersytetów krajowych: w r. 1851 liczyły 80 nauczycieli i 939 słuchaczów, a 10 lat potrzebowały, aby liczba ostatnich dobiegła do 1,000 (dopiero w r. 1860, zapewne skutkiem utradnienia krajowcom posad rządowych): w r. 1895 było profesorów 237, a słuchaczów 2,661. Od roku 1875 istnieje przytem we Lwowie szkoła politechniczna, która przy otwarciu miała słuchaczów zwyczajnych 247, nadzwyczajnych 13, w r. 1895 zwych. 302, a nadzw. 21, gdy liczba profesorów się podwoiła (z 29—50). Zaznaczamy co do politechniki jeden fakt bardzo znamienny: wysoka liczba uczniów, która się do niej rzuciła przy otwarciu, spadała w następnych latach regularnie, aż w półroczu letniem 1891 wynosiła 133, później dopiero zaczęła się powoli znowu podnosić. Świadczy to o pier-

---

motną postać rozdziela przestrzeń, jak przedtem.

Nie śmiałem powiedzieć, że chciałbym wznieść się na te wyżyny, uderzać w struny harfy. Czułem, żem tak mały, iż nie dosięgnę nawet do kolan tej wielkiej postaci i że nie potrafię poruszyć nawet strun jej harfy. Ale myślałem, że zostanę tu, na tej górze i cicho będę wtórzył jej dźwiękom czarownym. I chciałem zanucić, lecz głos mój zadrżał, urwał się i wreszcie zamilkł zupełnie.

Duch rozkazał mi opuścić niebo.

Wtedy, przerażony tym strasznym dla mnie rozkazem, zawołałem błagalnie: „Pozwól mi, pozostać. Jeślim zaś niegodzien tego — a ja wiem, żem niegodzien bom zbyt nędzny, żeby śpiewać na tym szczycie, zbyt słaby, żeby pracować na stokach, i zbyt grzeszny, żeby świecić i kochać w ogrodach — to pozwól mi stanąć choćby u samego wejścia. Tam zegnę z pokorą kolana i gdy będą wchodzili zbawieni, zobaczę przynajmniej blask na ich czole, usłyszę śpiew ich w ogrodach.

Lecz Duch odparł stanowczo: „To niemożliwe“ i znów ręką wskazał mi wyjście.

— A jeśli nie wolno mi pozostać w niebie—wyszeptałem drżący — to pozwól mi zejść do piekła. Znajdę tam mężczyzn i kobiety, którzy tem samem, co ja uczuciem przejęci będą; weźmiemy się wszyscy za ręce i tak podtrzymując się wzajemnie, znajdziemy wreszcie drogę do nieba.

Ale Duch wciąż tak samo stanowczo żądał, żebym się oddalił.

Wtedy z rozpaczy, ukrywszy twarz w dłoniach, zawołałem:

- Jakże strasznie jest wracać na ziemię, gdy raz się zaznało rozkoszy niebieskich!

Lecz Duch, kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł łagodnie:

— Wracaj na ziemię: tam znajdziesz to, czego szukasz.

* *

Obudziłem się. Cisza i ciemność nocy pierzchły przed promieniami porannego światła, a przez wązkie okno mojego pokoju wpadało światło nowego dnia. Lecz ja zamknąłem znów oczy, gdyż nie mogłem patrzeć na ten mdły, szary koloryt londyńskiego ranka. Z ulicy dochodziły do mnie odgłosy tłumów, biegnących po trotuarze: mężczyźni spieszyli do swych zajęć, służący za sprawunkami, uczniowie do szkół, a za nimi zmęczeni nauczyciele; prostytuci i prostytutki, ledwo wlóczący swe nogi po nocnej rozpuście, artyści ścigający nowe wrażenia, handlarze—pieniądze, dzieci żebraków — jałmużnę... Słyszałem, jak przepływał pod mojem oknem cały ten hałaśliwy potok ludzki. A w końcu ulicy, gdzie wpadał w nowe koryto, stara katarynka wygrywała jakąś ckliwą melodyę. Chwilami przerywała się ona, żeby za chwilę znów nawiązać nić piosenki, a mnie się zdawało, że dźwięki jej są podobne do drżącego, rozbitego głosu starca. W miarę, jak słuchałem, serce przestawało mi bić w piersiach i robiło się zimnem, jak stal. Wstrętnym był mi ten cały długi, nudny dzień, i chciałem o nim zapomnieć, lecz kroki na ulicy wciąż obijały się o uszy moje i nie dawały mi zasnąć.

Nagle usłyszałem wyraźnie, że kroki te głośno wołały do mnie: „I my szukamy!... i my szukamy!...“ Zepsuta katarynka szlochała na ulicy z żalu po pięknie harmonii, a moje serce znów odżyło i z każdem uderzeniem głośno powtarzało: „Miłość, Prawda, Piękno, Harmonia...“ Tak, to były te same dźwięki, które słyszałem w niebie, lecz wtedy nie były one jeszcze zupełnie dla mnie zrozumiałe.

Wreszcie przebudziłem się zupełnie. Przez wązkie okno mego pokoju widoczny był blady szmat londyńskiego nieba, i mdły promień padał wpoprzek mojego łóżka. Uśmiechnąłem się i wstałem.

Byłem rad, że cały długi dzień mam jeszcze przed sobą.

Tłom. F. G.

wotnym ustroju kraju, w którym zawody przemysłowe ludzi jeszcze nie żywią.

Ważną jest statystyka naszej inteligencyi pod względem narodowościowym. W r. 1895 było w szkołach średnich uczniów: Polaków 80,10%, Rusinów 17,08%, w seminaryach nauczycielskich: uczniów i uczennic polskich 91,07%, ruskich 8,50%; na uniwersytetach w r. 1896: we Lwowie 70, w Krakowie 96% Polaków, a Rusinów we Lwowie 29,5, w Krakowie 2,05%; na politechnice lwowskiej Polaków 93,5, Rusinów 5,8%. Cokolwiek lepiej przedstawia się dla Rusinów stosunek na innych akademiach austryackich. Świadczy to bezwarunkowo o wyższości kultury polskiej i tłomaczy fakt, że miasta i miasteczka w całej Galicyi mają charakter polski, co stanowczo przemawia przeciw stawianemu w ostatnich czasach żądaniu podziału Galicyi na dwie odrębne części administracyjne; trzeba jednak przytem brać ciągle w rachubę zaliczanie się w całej Galicyi do narodowości polskiej uczniów Żydów, których udział w szkołach średnich jest bardzo znaczny, a w niektórych zakładach Galicyi wschodniej dosięga lub nawet przechodzi 25% ich ogółu (Brody 48, Buczacz 25, Drohobycz 36, Stanisławów 27, Stryj 28, Tarnopol 33%). Okoliczność, to ważna ze względu na występujące obecnie coraz więcej między młodzieżą żydowską dążności separatystyczne, zdążające między innemi ku wprowadzeniu do statystyki urzędowej rubryki narodowości „żydowskiej.“

Szkoły, to jeden probierz oświaty, teraz zobaczmy drugi—prasę. W r. 1895 wychodziło w całej Galicyi czasopism polskich 50, a wszystkie razem, bez względu czy codzienne, tygodniowe, miesięczne, polityczne, naukowe czy inne, miały nakład 44,771 egzemplarzy; ruskich wychodziło 16 w 11,146 egz., niemieckich 2 w 625 egz., hebrajskich lub hebrajskiemi czcionkami 9 w 3,039 egz.; ogólna suma wykazuje 77 czasopism w 59,607 egz. Widzimy, że kraj siedmiomilionowy i to tak niezwykle „rozpolitykowany,“ kraj, mający dwa uniwersytety, politechnikę itd., nie dorównywa całością produkcyi publicystycznej wysokości nakładu jednego wielkiego dziennika zagranicznego.

Teraz trzecia miara rozwoju kulturalnego: ruch stowarzyszeń. O wzroście życia politycznego świadczy okoliczność, że w r. 1881 miała cała Galicya stowarzyszeń politycznych 4, w 1892 było ich 11, w 1895 — 21. Jest to wzrost — jak nam się wydaje — olbrzymi, a przecie ani w przybliżeniu nieodpowiadający gorączkowemu pulsowaniu polityki na Zachodzie, gdyż stowarzyszenia galicyjskie stanowią zaledwie 2,46% ogółu stowarzyszeń w Austryi. Dalej liczył kraj towarzystw naukowych i literackich w r. 1881 — 20, w 1895 — 62; dla szerzenia oświaty w r. 1881 — 22, w 1895 — 149; czytelń w r. 1881 — 87, w 1895 — 688; towarzystw pedagogicznych w r. 1881 — 4, w 1895 — 23; stow. stenografów spadły w tym czasie z 3 na 1. Dla rozwoju i uprawiania sztuki było w r. 1881 — 2 stow., w 1895 — 3; muzyczne z 15 urosły do 33; gimnastyczne (sokolskie), szermierskie, łyżwiarskie urosły z 9 do 98; ochotn. straże ogniowe z 99 do 281, natomiast spadły korporacye filistrów, t. zw. strzeleckie z 14 na 6. Liczba kasyn zwiększyła się ze 125 do 220, innych związków towarzyskich — z 17 do 55. Ogółem wynosiła liczba stow. politycznych, społecznych, towarzyskich, naukowych i literackich w r. 1881 — 426, w 1895 — 1,657. Szkoda wielka, że statystyka urzędowa nie podaje tutaj podziału na narodowości i wyznania.

Przechodzimy do sfery gospodarczej.

(D. n.).

W. Feldman.

ZIEMIA OBIECANA.

> Wer in Lodz nicht hundert Tausend Rubel hat, ist kein Mensch; wer sie hat — hört auf, Mensch zu sein *).

Jeszcze nie zeszło ze sceny życia pierwsze, nie dobiegło jeszcze swego kresu średniego drugie pokolenie, a Łódź zdążyła się przewinąć przed oczyma historyi w pełni i krasie swego rozkwitu. Cały niemal przemysł bawełnianowełniany kraju, zośrodkowawszy się w niej, wytworzył osobliwe ognisko, na którego rzeczowem podłożu wyłoniły się nowe stosunki społeczne, wyrosły nowe pokolenia, wysunęli się nowi ludzie, powstały nowe zwyczaje, wytrysły nowe myśli i pojęcia, wystrzeliły nowe dążenia i cele — słowem, w łonie społeczeństwa dokonał się przewrót daleko sięgający, wyrył sobie łożysko głębokie i popłynął rzeką szeroką, której fale coraz bardziej się rozpierają, coraz szerzej rozlewają, zrywając po drodze wszelkie tamy i przeszkody.

Stosunek społeczeństwa do tego nowego ogniska w zupełności odpowiadał jego stosunkowi do społeczeństwa. Trudno o przykład większego i tak niezrozumiałego negowania się, trudno o przykład tak rażącej wzajemnej obojętności. Jakby nawzajem się nie znały i znać nie chciały. Jakby murem wielkim się odgrodziły, murem o dwóch tylko otworach, z których jednym dopływały węgiel i żywe mięso ludzkie, drugim — wylewały się hen, daleko miliony wytwórczości łódzkiej.

W ślady społeczeństwa poszła i literatura. Obojętna na to, co się obok niej działo, na ten świat nowy, który na tle życia odbijał się nieznanemi u nas dotychczas barwami i obrazami, jakby niepomna tego, że najistotniejszem zadaniem jest odtwarzanie świeżych prądów, nurtujących społeczeństwo, chociażby one nie przenikały go zupełnie i były mu poniekąd obce, że do niej tylko należy przedstawianie typów nowych, chociażby one były jej obojętne, niemiłe, a nawet wstrętne, wolała ona w przeważnej większości swojej bodajby po raz setny przeżuwać stare, oklepane tematy, z tą jeno różnicą, że je w coraz nowsze, świeższe i wytworniejsze formy odlewała, niż zająć się temi zjawiskami, temi coraz bardziej i potężniej wzbierającemi falami, które na widnokręgu życia się ukazały, potwornie rozwinęły i groźnie nawet zarysowały. Tylko pisma humorystyczne bawiły i bawią wciąż siebie i czytelników swoich karykaturami, przeważnie powierzchownie tylko pochwytywanemi. Literatura poważna milczała. Uwadze jej zdawały się uchodzić nawet te wytwory życia. Niechęć czuła do tej nowiny społeczno-ekonomicznej i dlatego pozostawiła ją odłogiem.

Dopiero przed kilkoma laty p. Wincenty Kosiakiewicz, autor „Bawełny,“ powieści, którą z równą słusznością można było nazwać Proszkiem perskim lub Emetykiem — gdyż oba te artykuły wchodzą również w skład konsumcyi molocha łódzkiego i jego mieszkańców — dotknął po raz pierwszy tematu, zaczerpniętego ze sfery stosunków, o których mowa. Dowiódł on wszakże swoją ramotą znakomicie tego tylko, jak daleco praca powieściowa może odskakiwać od życia. Bo zmieniając wyraz *bawełna* na — dajmy na to — *proszek otwocki,* mógłby bez najmniejszej szkody i ujmy dla utworu przenieść akcyę i osoby do Otwocka, gdzieby się one, jako istoty suchotnicze, może nawet lepiej czuły.

*) Kto w Lodzi nie ma stu tysięcy rubli, nie jest człowiekiem; kto zaś je ma — przestaje być człowiekiem.

Drugim z rzędu pisarzem, który pragnął nowe stosunki utrwalić w dziele artystycznem i przekazać potomności, jest autor „Komedyantki!“ Zobaczymy później, czy i o ile Władysław St. Reymont wywiązał się z zadania w swojej „Ziemi obiecanej“ *).

Zanim wszakże przystąpię do oceny tego utworu, tak chciwie rozchwytywanego, niech mi wolno będzie skreślić wiązankę uwag ogólnych o Lodzi, stanowiących rezultat spostrzeżeń bezpośrednich. Scena bowiem i podścielisko społeczno-psychiczne, na którem poruszają się bohaterowie ostatniej powieści Reymonta, tak się głęboko różnią od tych, na które ogół inteligencyi zwykł dotychczas patrzeć, że wyświetlenie ich natury i charakteru, jakkolwiek konturowe tylko, winno — naszem zdaniem — ułatwić zrozumienie wad i zalet owej powieści, pomijając już ten fakt, że może ono samo przez się być ciekawem.

* * *

Gdy lat temu kilkadziesiąt z inicyatywy ludzi śmiałej ręki kraj nasz zaczął pokrywać się siecią linij kolejowych, które go poprzerzynały w częściach, najbardziej obfitujących w bogactwa naturalne i wogóle w warunki rozwoju — wówczas prawie jednocześnie wypłynęło na wierzch kilka centrów, w łonie których spoczywała brzemienna w wypadki ekonomiczne przyszłość. Zajaśniały prawie nagle i niby ze snu budzące się wielkie gwiazdy coraz większe koła promieniami swymi obejmowały. Rosły w siłę i potęgę tak zadziwiająco szybko, że zdawało się, iż dzieje się to za sprawą jakiegoś zaklęcia tajemniczego. Był to może najjaskrawszy dowód tego, że potęgi społeczno - ekonomiczne kraju, bogatego w nieprzebrane skarby, wówczas już aż nadto dojrzałe, szukały z nieprzepartą siłą ujścia i gdy niektóre tylko śluzy i stawidła zostały usunięte — wylały się takimi potokami na szerokie i wolne przestwory i ze ślepą, żywiołową mocą parły naprzód, że nawet ludzie, którzy w księgi swego doświadczenia zapisali nielada zwycięztwa materyalne, byli olśnieni tą niezwykłością bogactw niewyczerpanych. Źródła te, ledwie dotykane, wytryskały strumieniami złota. Na powierzchnię wyzwalających się z uwięzi potoków wypłynęły tłuste i gęsto usiane oka zysków olbrzymich. W powietrzu czuć było łup. Atmosfera przesycona była — że tak powiem — nadwartością potencyonalną. Wiecznie głodne i chciwe żeru kapitały obce — w kraju przebywające i z zagranicy napływające — zwęszyły, co się święci, rzuciły się rychło na arenę walki i oplotły wkrótce szponami swymi placówki ekonomiczne, z których, o ile można, spychały lękliwe, nieśmiałe i — na ogół biorąc — niepojmująco dokonywających się pod nosem zmian głębokich w życiu ekonomicznem społeczeństwa. Kraj nasz wchodził na nowe tory. Był to jedyny w swoim rodzaju moment historyczny, który staje się tylko rozleglejszym, ale który się nie powtarza.

Największą wszakże gwiazdą na widnokręgu ekonomicznym kraju, najpotężniejszy rozwój rokującym ośrodkiem przemysłowym była Łódź, która wkrótce po świecie całym zaczęła rozbrzmiewać sławą królowej wełny i bawełny, ta kolebka przyszłych nababów swojskiego chowu, którzy ze zdumiewającą szybkością dochodzili do majątków kolosalnych. Były to nasze Indye Przedgangesowe — tylko że w stosunku odwrotnym. To nie przesada. Wzrost Lodzi jest u nas zjawiskiem niezwykłem, fenomenalnem — i byłby niem wszędzie.

Tu też stanęła największa i najwspanialsza świątynia wiary pieniężnej, a w niej najpotężniejszy cielec złoty, tu składano mu najpiękniejsze ofiary, tu najkorniej

*) Władysław St. Reymont: „Ziemia obiecana,“ powieść. Tom I str. 441, t. II str. 410. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

karki przed nim zginano, tu mu najobfitsze libacye urządzano, tu najposłuszniej czołem przed nim bito, tu najpobożniejsze do niego pacierze odmawiano — tu wreszcie z największem namaszczeniem spełniano jego przykazania kategoryczne: „I nie będziesz miał bogów innych przede mną.“

(C. d. n.).

Maurycy Badior.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Histeryczna zima.

Powszechnie znaną jest kapryśność naszego klimatu i ona to głównie sprawia, że pomimo chęci, uzdolnień i środków nie możemy rozwinąć w naszym kraju tych gałęzi przemysłu, które są zależne od warunków ciepła i światła. Rzecz na pozór dziwna, a jednak naturalna, że w wielu hodowlach pokonywają nas środkowe i wschodnie gubernie Cesarstwa, które mają klimat ostrzejszy, ale stalszy. Jeśli wszakże rozmaite pory roku sprawiały nam zwyle niespodzianki, to zima tegoroczna należy chyba do największych histeryczek. Z wyjątkiem kilkostopniowych mrozów w połowie października i grudnia, przechodzi ona ciągle z temperaturą przeciętną wyżej zera, a w drugiej połowie stycznia mieliśmy nawet po kilkanaście stopni ciepła w słońcu. Fakt ten nietylko zadziwia, ale niepokoi. Mianowicie rolnicy nasi obawiają się wygnicia ozimin, zwłaszcza na gruntach ciężkich, nieprzepuszczalnych i sapach. Ponieważ zaś rok miniony, skutkiem nadmiaru wilgoci, sprowadził częściową klęskę (w słabej wydajności zbóż i nieurodzaju kartofli), więc trwoga potęguje się jeszcze bardziej. Może wiosna złe naprawi, a może je powiększy. Wszelki kaprys jest nieobliczalny, więc i ten nie dopuszcza żadnych wróżek.

Hulająca filantropia.

Wiadomo, że boginią miłosierdzia jest u nas Terpsychora. Wytańcowywujemy jałmużnę dla każdej biedy: ubogich matek, chorych dzieci, niezamożnych uczniów i studentów, kalek, starców itd. Gdy karnawał jest dłuższy, hulająca filantropia nie potrzebuje balować ciągle i pozwala sobie na pewne przerwy. Tegoroczny krótki nie daje jej odpocząć. Prawie codzień, a nieraz kilka razy w ciągu jednego wieczora musi ona hasać do świtu. Stąd też Warszawa przedstawia obecnie widok nadzwyczajnego ożywienia—w nocy. Niestrudzone w dobroczynności nogi, ledwie skończą jeden bal, pędzą na drugi, aby co prędzej „otrzeć łzy“ i „wesprzeć nieszczęśliwych.“ Należy zaś przyznać szlachetnym warszawiakom i nadobnym warszawiankom, że nie żałują ani sił, ani pieniędzy, ani wytwornych toalet, składanych w ofierze ubóstwu. Niektóre zabawy gromadzą po tysiąc osób. Czegóż można żądać więcej od litościwego społeczeństwa? Zapewne można żądać, ażeby zamieniło filantropijną baletnicę na poważną kwestarkę. Ale jeżeli ono nie jest w stanie dokonać w sobie takiej zmiany? Niema rady — trzeba tańczyć na cele dobroczynności. Kto ma pragnienie, a nie znajduje źródła, czyż nie napije się wody z rowu?

Czytelnie ludowe.

Komisya, wyznaczona przez p. Generał-Gubernatora, zrewidowawszy czytelnie bezpłatne przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności, pewną część książek z nich usunęła i ułożyła katalog, według którego jedynie zbiory te mogą być kompletowane. Obecnie znowu Rada miejska dobroczynności publicznej wyjaśniła — jak donosi *Kuryer. Warsz.* — że żadna książka nawet z objętych katalogiem lub też drugi egzemplarz już zatwierdzonej nie może być nabyty do czytelń bez każdorazowego zezwolenia ich kuratora, p. Ziłowa.

Z *Warsz. Dniewnika* dowiadujemy się, że skutkiem wielkiego powodzenia bibliotek ludowych, Naczelnik kraju pozwolił na zakładanie ich wszędzie przez zarządy gminne, towarzystwa i osoby prywatne, pod następującymi warunkami: 1) pozwolenia na otwarcie biblioteki udziela gubernator (w Warszawie oberpoliemajster); 2) biblioteki podlegają nadzorowi ze strony komisarzów włościańskich jako ich kuratorów i przedstawicieli miejscowej dyrekcyi naukowej; 3) skład książek winien zgadzać się ściśle z katalogiem; 4) pomieszczenie wybiera komisarz włościański, który też wyznacza bibliotekarza; 5) stosunek książek polskich do rosyjskich ma być jak 3 do 2, czyli na 3 polskie powinny być dwie rosyjskie. (Nawiasowo zaznaczymy, że owego katalogu książek dozwolonych wyszły dotychczas trzy zeszyty, a ma być wydany jeszcze czwarty, gdyż okazała się potrzeba powiększenia ilości dzieł, przeznaczonych dla ludu). Powyższe przepisy dotyczą jedynie bibliotek, wypożyczających książki do domu, gdyż co do czytelń właściwych— „ich organizacyę w kraju Przywiślańskim— jak powiada *Warsz. Dniewnik* — uznano za konieczne odłożyć do czasu opracowania typu normalnego takich instytucyj przez kuratorya trzeźwości, w których program działania one wejdą.“

Ofiarę 10,000 rb. p. H. Wawelberga rozdzielono po 1,000 rb. do rozporządzenia gubernatorów: warszawskiego, kieleckiego, kaliskiego, piotrkowskiego, radomskiego, płockiego, łomżyńskiego. Pozostałe 3,000 rb. będą zużytkowane wkrótce.

Niedojrzała spółka.

Nie pamiętamy, które z rzędu zawiadomienie rozsyła do pism nowo zawiązana spółka rybacka o swojem ukonstytuowaniu się, a ciągle nosi ona charakter tymczasowości. Obecnie spisano już akt rejentalny, opracowano instrukcyę, określono urzędy, zebrano 25,000 rb. kapitału, ale spółka nie może podjąć swoich czynności, gdyż brak jej jeszcze co najmniej 20,000 rb. Świeżo wybrany też zarząd jest również tymczasowym, jak poprzedni. Wierzymy w dobre chęci inicyatorów i użyteczność ich przedsięwzięcia; sądzimy jednak, że wprzódy należało zgromadzić potrzebny niezbędnie kapitał i utworzyć zarząd stały, zanim ta sprawa zaczęła ukazywać się jak duch w pismach peryodycznych. Wtedy bowiem budziłaby zaufanie i ściągała nowych uczestników, podczas gdy wyprowadzona na widownię w stanie niedojrzałym, nasuwa wątpliwości, czy żyć będzie, skoro dotąd nie ma ani głowy, ani oparcia. A szkoda, bo — powtarzamy — myśl jest dobra i posiada u nas warunki pomyślnego jej spełnienia. Zapewne, lepiej grzeszyć zbytnią ostrożnością, niż zbytnim pośpiechem i nie narażać wątłego organizmu na działalność przechodzącą jego siły; opiekunowie tedy spółki słusznie powstrzymują się z rozpoczęciem swych czynności, dopóki nie będą mieli odpowiedniej sumy pieniędzy; ale należało ją zebrać przed zawarciem kontraktu i wystąpić odrazu z organizacyą gotową. Skoro wszakże już tak się stało, czyż chrapiąco twardym snem w papierach publicznych nasze kapitały nie zbudzą się i nie przyjmą udziału w przedsięwzięciu, jeśli ono jest zyskownem? A może by wezwać na pomoc Holendrów, najbardziej oswojonych z wodą!...

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

W. Zakrzewski: *Historya starożytna i średniowieczna.*— D. B.: *Rys oświaty średniowiecznej.* — M. Dębicki: *Przyszłość Chin.* — T. Dydyński: *Cesarz Hadryan.*

Profesor historyi powszechnej na wszechnicy krakowskiej Wincenty Zakrzewski, znany w dziejopisarstwie naszem autor źródłowych prac o reformacyi w Polsce, Iwanie Groźnym, Stefanie Batorym itd., wydał w r. 1891 „Historyę starożytną w zarysie,“ we dwa zaś lata później „Historyę wieków średnich w zarysie“ — obie wyraźnie przeznaczone dla szkolnego użytku. Powtórna edycya tych książek ukazała się niedawno w Petersburgu nakładem księgarni Grendyszyńskiego — tom pierwszy bez zmian żadnych, tom drugi z poprawkami i uzupełnieniami. W układzie tych podręczników Zakrzewski widocznie stosował się do obowiązujących programatów szkolnych, które zarówno w Austryi, jak i gdzieindziej nie odznaczały się nigdy ryzykowną pogonią za nowatorstwem. Poszukiwania, odkrycia, ulepszenia metodologiczne wpływają i tu wprawdzie powoli na treść i duch przedmiotu, ale oprawa, ramy, pozostają nietknięte od niepamiętnych czasów — kto wie, czy nie od daty panowania Maryi Teresy i Józefa II. A więc przedewszystkiem, na pierwszem miejscu mamy historyę tych ludów wschodnich, pośród których mieści się „naród wybrany“ z prawodawstwem Mojżesza i chronologią biblijną. Autor wie i śmiało to zaznacza tuż zaraz za Izraelitami, że był niegdyś czas—w odległej starożytności — kiedy przodkowie ludów altyckich, germańskich, słowiańskich, Greków, Italów, Hindusów, Persów pierwotnych stanowili jedną tylko wspólnotę rodzinną, patryarchalną — do jakiej atoli głębokości sięgnąćby należało, aby w przybliżeniu oznaczyć czas istnienia pierwotnego owego społeczeństwa aryjskiego, wzmianki o tem w pracy prof. Zakrzewskiego nie znajdujemy: ze ściślejszego rachunku wypaśćby mogło, że ludy aryjskie i pierwsze rozdziały Rigwedy, świętej księgi ich pradziadów, zjawiły się na ziemi na kilkadziesiąt lat „przed stworzeniem świata.“ Zawisłość od programu spowodowała też zapewne i pewne skazy językowe. Wyrażenie, że Izraelici wierzyli „w jednego Boga prawdziwego“ (str. 21) mimowolnie rodzi pytanie, nawet w umyśle młodocianym, azali Bóg jedyny mógłby też być nieprawdziwym? lub prawdziwy nie jedynym? Po za obrębem tych i tym podobnych drobnych wątpliwości, przedzierających się niekiedy i do tomu drugiego, do historyi wieków średnich, gdzie mowa o wszechpochłaniającej roli kościoła i władzy papiezkiej, wszystko inne jest w najzupełniejszym porządku. Nie dla czczej chluby autor na czele każdego rozdziału umieszcza zasobną i wyborową bibliografię przedmiotu (niemal wyłącznie zagraniczną, bo w piśmiennictwie ojczystem o historyi powszechnej zupełnie dziś głucho): w toku wykładu czuć wszędzie najdokładniej, że z tej bogatej bibliografii dwutomowy podręcznik prof. Zakrzewskiego czerpie swą krew, swe mięśnie i kości. Treść jest obfita a zwięzła, styl niezbyt może malowniczy, lecz prosty, poważny, spokojny, słowem taki, jaki przystoi nauczycielowi, który wie, o czem i do kogo mówi. Dzieło najbezpieczniej dać możemy do rąk synom naszym, córkom i nawet wnukom.

Dorośli — oni elementarny kurs dziejów powszechnych z łatwością uzupełnią monografiami specyalnemi, odpowiednio do obranego zakresu studyów. Pamiętać tylko muszą, że jest uzupełnienie — i uzupełnienie. To, z jakiem np. wystąpił ks. D. B. w swoim „Rysie średniowiecznej oświaty“ (Warszawa, nakładem autora, 1898, str. 187) wydaje się niemal zbytecznem. Kreśląc pobieżnie, lubo z głębszą znajomością rzeczy, obraz powstania i rozwoju w Europie szkół wyższych, przedstawiając organizacyę najdawniejszych na świecie uniwersytetów w Paryżu i Bolonii, rozległy ich wpływ na oświatę i cywilizacyę wieków późniejszych, omawiając zalety systemów i metod wychowawczych niegdyś używanych (scholastyka, mistyka), ks. D. B. z goryczą wytyka niewdzięczność i niesprawiedliwość tych, co nie chcą widzieć i uznać zasług, jakie w wiekach średnich Kościół w tych sprawach położył. Należałoby określić, o jakie uwzględnienie, o jakie uznanie chodzi? — Jeżeli o historyczne, dwie trzy stronice prof. Zakrzewskiego (II, 137—139) wymowniejszemi są dziś dla nas, niżli kolumny utyskiwań na „indyferentyzm religijny naszego wieku,“ który sprawia, że choćby studya średniowieczne „najświetniej były urządzone, chociażby najlepiej odpowiadały swemu przeznaczeniu i najprościej prowadziły do celu, już to samo, że kościół wywierał wciąż na nie zbawienny swój wpływ, wystarcza postępowcom do ich potępienia.“ Bardzo to być może, że *na swój czas* kazuistyka była dla umiejętności dyscypliną niezbędną. „Trzeba wiedzieć — naucza ks. B. D. — że w średnich wiekach cały zasób wiedzy ludzkiej rozdzielono na dwie części: na sztuki i na nauki. Do sztuk, których liczono siedem, odnosiło się wszystko, co zmierzało do encyklopedycznego, ogólnego wykształcenia, a więc gramatyka, retoryka, dyalektyka, arytmetyka, geometrya, muzyka i astronomia. Do części drugiej, to jest do nauk wyższych należały teologia, prawo kanoniczne i cywilne, medycyna...“ Przez sztuki dochodziło się do nauki: „za pomocą wzmiankowanych siedmiu sztuk wyzwolonych kształciły się wszystkie władze duszy, ćwiczyła się pamięć, wyrabiał się zdrowy sąd, rozwijała się wyobraźnia i tak się ukształcał umysł, że był uzdolniony do wyższych studyów...“ Sztuki, wyrabiające dobrą pamięć nazywano filozofią, a filozofia (jak zapewnia ks. B. D. w trybie bezokolicznościowym i w czasie teraźniejszym) „odgrywa w teologii wielką rolę, bo drogą logicznego rozumowania wyświetla te prawdy, które podaje objawienie“ (str. 77). „Co do formy, jaką w średnich wiekach miała teologia, był to wybór zdań Ojców św. o pojedynczych dogmatach; zbiory takie, nazywały się *sentencye*. Słynny Piotr Lombard z Nowarry zebrał owe zdania w jedną całość — a więcej, niż 250 teologów wykładało jego dzieła“ (79). Zgodzić się trzeba, że tak było istotnie, faktycznie. Lecz czy żywa, gorąca obrona tej oświaty średniowiecznej, tej gimnastyki filozoficznej, mającej na widoku nieustającą adoracyę dzieł Piotra Lombarda z Nowarry, jest rzeczywiście jedynie obroną faktu historycznego, który przez to samo, że był, że się stał, odstać się już nie może? czy też raczej miałoby się tu na celu coś więcej jeszcze? „Gdyby pedagogowie chcieli staranniej przypatrzeć się i zbadać sposób, w jaki prowadzono *dotychczas* kształcenie umysłu i serca ludzkiego, *nauczeni praktyką tylu minionych wieków*, niezawodnie dokładniejby poznali, jaki jest najlepszy sposób urządzenia studyów, aby wykształciły takich mężów, jakich się domaga kościół i państwo“ (59). Więc tak? więc o teraźniejszości mowa? więc rzetelnie przekonani jesteśmy, że szkolnictwo tegoczesne coś żywotnego wyciągnąćby jeszcze zdołało z sentencyj Piotra Lombarda? — Najcenniejszą zaletą rozprawki księdza B. D. jest to, że stanowczą odpowiedź na te pytanie omija zdaleka i że samą kwestyę traktuje oględnie bez nacisku.

Inaczej nieco wygląda traktat ks. Władysława M. Dębickiego p. t. „Przyszłość Chin, groźne wnioski z przesłanek lekceważonych“ (Warszawa, 1898, nakład Gebethnera i Wolffa, z ilustracyami, str. 192), drukowany niedawno w *Tygodniku Ilustrowanym* i powtórzony obecnie w edycyi książkowej. „Traktat ten, postawiony obok dwutomowej „Historyi“ prof. Wincentego Zakrzewskiego, ma taką postać, jak gdyby był wprost i otwarcie przeciwko niej wymierzony — niby wystrzał na zabicie grzechu śmiertelnego. W rzeczy samej prof. Zakrzewski wyrzucił z dziejów Chiny, całkowitem i bezwzględnem milczeniem pokrył istnienie ich w starożytności i wiekach średnich. Miałże jakąkolwiek ku temu racyę? — Żadnej — odpowiada ks. Dębicki. Bo lubo przesądnem, przesadzonem i zarozumiałem jest mniemanie samych Chińczyków, jakoby o sto i dwieście tysięcy lat poprzedzili zjawienia się Chrystusa na naszej planecie, to jednak nie ulega wątpliwości, że byli narodem sędziwym i przejrzałym już za dni, kiedy nikomu jeszcze nie śniło się nawet o utworzenie państwa egipskiego, o założeniu miast chaldejskich lub o śpiewaniu hymnów wedyjskich. Pieśń życia kończyła się u nich, gdy aryjski Dyaus-pitar, praojciec greckiego Zewsa i rzymskiego Jupitera (Diupitara) z pieluch nawet nie wyszedł. „Tymczasem — ze słusznem oburzeniem zaznacza ks. Dębicki — podręczniki historyi załatwiają się z burzliwą i pełną oryginalnych zjawisk przeszłością Chin na jednej lub dwu stronicach, niekiedy zaledwie w kilkunastu wierszach“—a jak prof. Zakrzewski to i jednego wiersza im nie poświęcił— „wówczas, gdy np. o takiej wojnie peloponeskiej, prowadzonej między *miniaturowemi* państewkami Grecyi, podręczniki owe mówią co najmniej dziesięć razy więcej„ (prof. Zakrzewski zakroił dla tej wojny dziewiętnaście pełnych stronic, I, 102—119, a państewka miniaturowe uposażył aż w dziewięćdziesiąt stronic, 42—131). Takie lekceważenie, taką zniewagę przeszłości Chin i 400 milionowej ich masy, wynagrodzi im, naturalnie, przyszłość. Bardzo nawet niedaleka przyszłość. „Naród ten — pisze ksiądz Dębicki — przewyższający liczebnie ludność całej Europy, posiada olbrzymie bogactwa przyrodzone i nabyte przez pracę, ma spryt i wytrwałość nieporównaną, a ustrój społeczny — ogólnie mówiąc — tak mądry, żywotność i siłę reprodukcyjną tak wielką, jak rzadko, który inny; skutkiem tego państwo Niebieskie, zwane przez Chińczyków „monarchią środkową“ stać się musi kiedyś i to zapewne w niezbyt odległym czasie, prawdziwym środkiem ciężkości dla *politycznych* i ekonomicznych interesów nietylko Azyi, lecz całej kuli ziemskiej“ (str. 10). Mało tego. Interesa moralne, cywilizacyjne, duchowe świata znajdą, znaleźć mogą w tem państwie Niebieskiem punkt swego wyjścia i punkt swego oparcia — podwalinę swą niejako. „Pierwszym i najgłówniejszym obowiązkiem państwa — powiadał niegdyś marzyciel i reformator chiński Wan-ngan-sse, osobistość w rodzaju Lassalle'a i Marxa — jest kochać lud w taki sposób, aby mu zapewnić *realne* korzyści życia, to jest dobrobyt i wesołość“ (22). Owóż, albożnie takie są widoki, żądze, dążności i natchnienia rodu ludzkiego w dobie bieżącej? — Wprawdzie, „oprócz kilku mniejszych buntów i niedawnej wojny z Japonią, roczniki najnowszych dziejów chińskich nie mają do zapisania — żadnego ważniejszego wypadku“ na dobro przewidywanego przez autora okresu pomyślności powszechno-chińskiej (44) — ale ogólne rezultaty „długiego bytowania historycznego“ Chin, oraz zdobycze, „które geniusz narodu chińskiego osiągnąć *potrafi* pod względem społecznym“ mogłyby stanowić rękojmię mocną, „iż te olbrzymie i *coraz silniejsze* (?) Chiny“ wybrane będą przez Opatrzność „do ponownego odrodzenia świata...“ Chrystyanizm ma prawo spodziewać się wszystkiego, nawet wbrew wszelkim rachubom zwykłej ludzkiej mądrości. Czyliż bowiem społeczeństwo starożytne, wśród którego założone zostały podwaliny naszego kościoła, było mniej zmysłowe, mniej chciwe dóbr ziemskich, niż mieszkańcy monarchii środkowej? Czyliż garstka rybołowów galilejskich, która opowiadała dobrą nowinę sceptycznym Rzymianom i Grekom, była potężniejszą od szczupłego zastępu misyonarzy i sióstr miłosierdzia pielęgnujących znicz wiary, nadziei i miłości chrześciańskiej w mrokach chińskiego nihilizmu?...“ Zagadnienie postawione uczciwie i wzniośle — o to nie może być sprzeczki. Ale czy nie za optymistycznie, jak na postulat chiński, brzmi ten to ostateczny wniosek ks. Dębickiego: „Cokolwiekbądź zgotują światu przyszłe stulecia, bądźmy przekonani, że mądrość Boża pokieruje celowo i sprawiedliwie dalszymi losami ludzkości. Pod wpływem ciepła Ewangelii i przy współudziale *dodatnich czynników postępu* znikną stopniowo uprzedzenia rasowe, aż wszystkie plemiona, zespolone węzłami braterstwa w jedną rodzinę, ziszczą wzniosłą zapowiedź poety: „Zstąpi na ziemię Królestwo Boże — duch wionie z krzyża i świat ogarnie jak jeden pasterz jedną owczarnię...“

Tak czy inaczej, podnieść wypada okoliczność, że o owej jednej owczarni i jednym pasterzu marzyli lub marzą nie sami poeci i że o taką jedność kusiły się nietylko wielkie moralne potęgi średniowieczne! Znała też i starożytność próby podobne, podejmowane przez władze świeckie, odpowiedniemi siłami obdarzone, jak o tem świadczy między innymi prof. dr. Teodor Dydyński w studyum historyczno-prawnem p. t. „Cesarz Hadryan,“ wydanem z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. prof. dr. Józefa Mianowskiego. W poczcie imperatorów rzymskich, należących do t. zw. złotego wieku starego cesarstwa rzymskiego, po rozważnym i dobrodusznym Nerwie, po wojowniczym Trajanie, zdobywcy Dacyi, następca tego ostatniego, adoptowany w powrocie z Syryi, Publius Aelius Hadrianus (117—138 po Chr.) zasłynął w dziejach jako literat, poeta, artysta, filozof, wyznawca i wielbiciel idei pokoju powszechnego. Zrzekł się on zupełnie zaborczej polityki swych przodków, zawarł stały pokój z Partami i prawie całe swe panowanie spędził na ciągłych podróżach i wędrówkach, często pieszych i incognito, po najodleglejszych prowincyach. Niezmiernie wrażliwy, nieumiejący oprzeć się najlżejszej pobudce zewnętrznej, raz dostępny i łaskawy dla wszystkich, to znów surowy i okrutny dla najbliższych, całą swą usilność skierował on ku temu, aby cesarstwu zapewnić byt pogodny, szczęśliwy, wesoły, bez trosk i obaw o jutro. W edykcie wieczystym sformowane zostały, z jego rozkazu, wszystkie przepisy i normy prawne, obowiązywać mające na zawsze najrozmaitsze ludy olbrzymiego państwa, powołane odtąd do równej z obywatelami Rzymu godności cywilnej. Nad wygładzoną i ugłaskaną w ten sposób rzeszą żywiołów różnorodnych, nad jej pastwiskami i świątyniami, nad jej łaźniami, parkami i cyrkami, czuwać miało od tej chwili jedno tylko oko, jeden rozum, jedna wola — ale za to wszechwładna. Nie posiadał tej wszechwładzy słodki i wykwintny truciciel rzeczypospolitej rzymskiej, Cezar Oktawian Augustus. Dokonawszy „wielkiego dzieła,“ przeobraziwszy doszczętnie polityczny i społeczny ustrój światowładnej Romy, stanął on na jej czele jedynie jako *Princeps senatus*. Taki princeps nie był ani królem, ani dyktatorem, lecz tylko pierwszym urzędnikiem pań-

stwa, księciem senatu, głównym dowódcą wojsk, trybunem ludu, prokonsulem w prowincyach. Organem prawodawczym, po upadku i zniesieniu wszechwładztwa ludowego, stał się senat — najzwyklej powolne i pokorne podnóże u stóp pryncypatu, ale bądź co bądź, podnóże nominalnie istniejące. Trzeba je było teraz kopnąć. Nie uczynił tego Hadryan, zanadto bowiem był *graeculusem*, co po naszemu dziś znaczy: światowcem, człowiekiem dobrze wychowanym, ogładzonym. Zręczniej sobie postąpił wszechwładny nasz galant: wziął senat grzecznie za ucho i za drzwi wyprosił. Podniósłszy i wzmocniwszy karność w wojsku rzymskiem, zaprowadziwszy równowagę między dochodami i wydatkami państwa, zrównawszy prowincye rzymskie z Italią pod względem praw politycznych i cywilnych, Hadryan utworzył przy swoim boku stałą radę cesarską, całkiem mu oddaną, a podkopując do reszty przywileje stanu senatorskiego, powołał do życia i do nowej działalności stan rycerzy, jako główną podporę władzy cesarskiej. Tym sposobem stał się jedyną dźwignią, jedynem źródłem, jedyną opatrznością wszelkiego ruchu i wszelkiej myśli na kolosalnych, niezmierzonych przestrzeniach państwa rzymskiego. Żeby zaś żaden postronny atom nie wpadł trafem jakimkolwiek pomiędzy koła i szruby tak doskonale sporządzonej i ustawionej maszyneryi, Hadryan kazał ją ogrodzić murem — z wielu względów od chińskiego twardszym i pewniejszym, bo czujnie strzeżonym przez wyćwiczone i liczne legiony, nic już lepszego do robienia niemające na zewnątrz w następstwie przyjętej zasady pokoju powszechnego. Słabe szczątki tych wałów ochronnych po dziśdzień się przechowały — w Brytanii w szeregu fortyfikacyj idących w poprzek wyspy od morza do morza (t. zw. „vallum Hadriani“), tudzież w dłuższym jeszcze od nich pasie pogranicznym (t. zw. „limes“) pomiędzy górnym Renem a górnym Dunajem (Zakrzewski, II, 244). Prof. Dydyński przytacza około tuzina zdań z najcelniejszych dziejopisarzy tegoczesnych, Hirschfelda, Gregoroviusa, Karlowy, Rankego, Schillera, Mommsena itd.— zdań, przepełnionych pochwałami i hymnami na cześć „kolosalnej uniwersalności ducha“ Hadryana. Sam zaś prof. Dydyński dziwi się niepomiernie, skąd poszło, że pomysły i dzieła tego cesarza tak rychło i marnie obróciły się w niwecz, a samo imię jego stało się u niektórych pisarzy (np. u Renana *Orig du Christ.*, t. VI, str. 5 i nast.) synonimem wytwornego błazeństwa i zmienności powiewnej, chorągiewkowej... *Semper in omnibus varius...*

Turn.

RODOWÓD ŚWIĄT.

III.

Obchody pogańskie, towarzyszące zwrotnym punktom w dorocznym obiegu słońca, pozostawiły po sobie liczne szczątki w przesądach i praktykach ludu włościańskiego we wszystkich krajach Europy. Sobótka świętojańska, jeszcze dzisiaj palona w wielu okolicach kraju naszego, jest takim przeżytkiem prawdopodobnie po świętowaniu letniego przesilenia. Sama nazwa, nadawana św. Janowi Chrzcicielowi, a mianowicie „Biały Jan“; przeskakiwanie przez ognisko, rozpalone na polu, przepędzanie przezeń bydła, bieganie ze słomą zapaloną u ognia po polach, ażeby nadać im urodzaj, i wiele innych zwyczajów świadczy o tem, czem ów obchód był ongi. Mazurzy pruscy w podaniach swoich zachowali jeszcze więcej wspomnień. Twierdzą oni, że przodkowie nasi od tego dnia rozpoczynali swój dawny nowy rok i w tym dniu zapalali nowe ognie, tak samo — dodajmy od siebie — jak to dzisiaj czynią barbarzyńcy Ameryki. I ogień na sobótkę powinien być niecony w „sposób żywy.“ Na Mazurach wbijają pal dębowy i obracają na nim koło, aż póki płomień nie pojawi się od tarcia. Zresztą w sobótce istnieją ślady jeszcze innych zwyczajów prastarej epoki, dawniejsze może, niż wszelka znajomość przesileń i zrównań i zatem i samo świętowanie tych epok zwrotnych. Starczy tutaj zaznaczyć łączenie w pieśni parobków i dziewcząt w pary, rozdawanie wianeczków i puszczanie ich po bieżącej wodzie, wreszcie treść śpiewanych piosnek:

...„niczego mi nie żal, tylko wianeczka.“

Niekiedy dawne święta owej kategoryi dochowały się bardzo wyraźnie, jako uroczystości istot nadprzyrodzonych. Celtowie dadzą nam przewyborny przykład takiego przeniesienia dawnej rzeczywistości w świat gnomów i elfów.

Celtowie rozpalali sobótki dwa razy do roku: zwana Samhain, gorzała w listopadzie, druga, Bel—w maju. Gaszono naówczas ognie na wszystkich kominach i rozpalono nowe od zarzewia, branego z sobótki. Istniały specyalne świątynie dla rozpalania obu ogni. W okresie sobótek jesiennych druidowie w miejscach, posiadających kształt koła, zgromadzali się dla rozpoznawania spraw i roztrząsania sporów. W przededniu gaszono ognie w całej dzielnicy i od świętego znicza każdy w dniu następnym brał zarzewie. Ale od tego prawa byli wykluczeni wszyscy, którzy przełamali pokój i dokonali bezprawia, póki nie zmazali swego przewinienia w sposób, wskazany przez druidów. Kto zaś tego nie dokonał, temu groziła natychmiastowa banicya ze społeczeństwa, w owym czasie groźniejsza nawet, niż śmierć. Rysy te święta jesiennego przypominają nam obchód noworoczny u czerwonoskórych Ameryki północnej.

Może właśnie pamięć o tych obchodach przetrwała u włościan irlandzkich chwili obecnej w podaniu, iż elfowie dwa razy do roku sprawiają swoje święta. Pierwsze z nich przypada na początek wiosny, kiedy słońce zbliża się (?) do zwrotu letniego. O Donoghoe na białym jak mleko koniu— przypominamy naszego „białego Jana“ — wraz z elfami wstępuje wtedy do nieba. Około Bożego narodzenia bóstwa podziemne święcą swoje straszne obchody rykami przeraźliwymi — szczegół, który niebawem odnajdziemy w dniu sądnym barbarzyńców. Mówimy: „może,“ bo ostatecznie nastało, a przynajmniej mamy wrażenie, iż nastało zmieszanie w pamięci ludu obchodów przesilenia z uroczystościami zrównania, i w dalszym ciągu z świętami chrześciańskiemi.

Świętowanie przesileń przedstawia w rozwoju społecznym zjawisko późniejsze, aniżeli obchody, towarzyszące porównaniom dnia z nocą. Jest to rzecz zrozumiała. Ażeby poznać przesilenia, trzeba dokonywać już systematycznych poszukiwań astronomicznych; tymczasem, co do porównań, istota ludzka obchodzi je bez świadomości o tem, co robi. Rok rocznie przyroda budzi się ze snu, w jakim była pogrążona w ciągu zimy, i corocznie tak samo umiera ponownie. Umiejętność wyznaczenia dni porównania jedynie utrwala termin takich uroczystości. Zresztą i obchody, przypadające na okres przesileń, sięgają daleko w przeszłość, napewno aż do średniego barbarzyństwa. U Zuńczyków, ludu, zamieszkującego pewne okolice N. Meksyku, dnie obu przesileń, letniego i zimowego, są bardzo doniosłemi chwilami ich kalendarza. Podczas przesilenia letniego, a przynajmniej w bliskim czasie, żaden członek tego plemienia w ciągu dni czterech nie będzie zawierał umowy handlowej. Święto zimy ciągnie się dni siedm, nikt nie pozwoli wynieść ognia z swojej chaty.

Zaznaczyliśmy, że święta wiosenne i jesienne, co do pochodzenia swego, są o wiele wcześniejsze i że dopiero w okresie późniejszym kultury zostały utrwalone przez kalendarz. Rozbiór ich charakteru dostarcza bardzo znamiennych wskazówek, jak u ludów nawzajem niezależnych, przedzielonych lądami i wodami, te same czynniki, mianowicie ocknięcie się i zamieranie sił przyrody wegetacyjnej, wywołują pokrewne sobie praktyki i obchody.

Uroczystość wiosenna jest świętowaniem przebudzenia się w przyrodzie sił nowych: wegetacyi, miłości i płodności. Po tym obchodzie u ludu naszego pozostały zwyczaje topienia Marzany i Śmierci, obnoszenia gaików, a nawet jaje wielkanocne i dyngus - śmigus są tego samego pochodzenia. Często jest to zarazem święto rozpusty. Umysł pierwotny wierzy, że dla zmuszenia przyrody do pewnych skutków trzeba w obrzędach wskazać jej drogę. Uroczystość więc wiosenna obfituje w różne sprosne sceny, nietylko tolerowane, ale nawet zalecane i wymagane przez istniejące podówczas naiwne pojmowanie sił przyrody i wzajemnego pomiędzy nimi związku. Może i działanie budzącej się wiosny na organizm ludzki także przyczyniło się do nadania obchodowi wiosennemu takiego charakteru rozpasanego. Procesye z fallusem w Egipcie i w Kongo dzisiejszym właśnie należą do tego rodzaju obrzędów, święcących ocknięcie się przyrody. Przypominamy także o święcie Libera w Lawinjum, kiedy, dla ubłagania obfitych urodzajów i zapobieżenia klęskom na polach, poważna i szanowana matrona powinna była przed oczami tłumu dokonywać praktyk, których nie dopuściłaby się nawet nierządnica w teatrze.

Przytoczymy parę przykładów święta wiosennego:

U Iroków znachorzy chodzą w pewnej porze po wioskach, wypraszając upominki. Noszą oni bryłę z lodu, przedstawiającą ludożercze siły przyrody, które pragną ofiary z człowieka. Obrzęd polega na przywoływaniu wszechwładnego a dobroczynnego gromoboga, ażeby przybył na ziemię z planetnikami swymi i przegnał potwora na daleką północ, w krainę zimna i wiatrów, w której duchy mrozu przebywają. Od tego dnia ustają wycia straszydła. Przedtem rozlegały się one głośno, a ktokolwiek ośmieliłby się przeniknąć zbyt daleko w jego miejsca, bywał karany śmiercią przez siłę ludożerczą.

U ludu Oraonów, zamieszkujących Indye Przedgangesowe, istnieje w końcu kwietnia lub w początkach maja święto Sarhul. Ziemia obchodzi naówczas swoje gody małżeńskie, w następstwie których pokrywa się wegetacyą i rodzi. Wieś każda udaje się wtedy do pobliskiego gaju, w którym mają przebywać bóstwa lokalne, zsyłające deszcz, składa tam ofiary i zbiera kwiaty, które niosą do chat.

Zgoła inny charakter mają święta jesienne, obchodzone z powodu zasypiania sił przyrody. Głównym rysem tego obchodu jest strach i zgrzyt. Lud nasz opowiada niestworzone rzeczy o „sądnym dniu“ u Żydów. Treść tych opowiadań jakby odtwarzała przed nami dnie popłochu i pokuty, towarzyszące nadejściu nieprzyjaznych i złoczynnych potęg zimy.

U Karoków, ludu kalifornijskiego, na początku września przypada uroczystość „opracowania ziemi“, t. j. przebłagania. Zadanie jej polega na przebłaganiu duchów ziemi i lasów, ażeby na przyszłość nie zsyłały klęsk na ród ludzki, nie szerzyły posuchy, trzęsień ziemi i pożarów leśnych. Wszystkie sioła stoją wtedy opuszczone, bo wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, muszą zgromadzić się na tem samem miejscu, na olbrzymim zborze ogólno-plemiennym. Plemieńcy schodzą się z zapasami żywno-

ści, ażeby można było wyżyć w ciągu dwu tygodni i więcej. Wybrany Indyanin, odkupiciel plemienny, udaje się w góry na post i skruchę za całe plemię. W tym ogrójcu przez dni dziesięć nie bierze on nic do ust. Tymczasem lud cały się weseli. Wreszcie towarzysz poszczącego nadchodzi, zawiadamiając, iż „boży człowiek“ powraca. Wszyscy się rozbiegają, bo śmierć stąpa za odkupicielem; chowają się po sąsiednich lasach, w namiotach leżą twarzą do ziemi, na głowy swoje zarzucają tkaniny. To samo robią z dziećmi. Obóz milczy cały, jak gdyby śmierć przeszła nad nim. Odkupiciel plemienny w domu rady plemiennej nieci ogień, ale jak nikt nie powinien widzieć powracającego bożego człowieka, tak samo jeśli spojrzy na dym, unoszący się nad zapalonym ogniem, śmierć go czeka. Od ognia bożego zapalają ognie za czas całej zimy. Dzień sądny Karoków kończy się powszechną rozpustą.

Kiedy w późnej jesieni burze zaczynają huczeć nad ziemią, Eskimowie mniemają, że duchy złoczynne dziko dobijają się do chat, do których przecież wejść nie mogą. Lecz biada osobie, która niebaczna wpadnie w ich szpony: choroba ją niebawem zmoże i przyprawi o śmierć. Zły Gugerin prześladuje specyalnie psy, zdychające w konwulsyach, gdy go raz jeden ujrzą. Wszystkie złe duchy są naówczas czynne, szerząc choroby i śmierć, złe powietrze i niepowodzenie na polowaniu. Najgorszemi zaś ze wszystkich jest złośliwa Sedna z ojcem swoim, do którego należą zmarli. Ażeby odwrócić te nieszczęścia i klęski, Eskimowie podczas specyalnego święta zaklinają złoczynne siły przyrody, jak powiedzieliśmy, złych duchów zaś, jak oni mówią. Uroczystość pokutna kończy się tak samo, jak u Karoków, powszechną rozpustą i bezładem małżeńskim.

Święta astronomiczne nie zawsze wyodrębniają się z całą wyrazistością, ale zlewają się z uroczystościami, które powstały pod działaniem warunków bytu materyalnego. Może dokładniej byłoby powiedzieć, że te ostatnie, w miarę rozwoju znajomości kalendarza, ustalają się i bywają obchodzone w odpowiednich terminach. Niewątpliwie tak było ze zbiegowiskami rozpusty wiosennemi, które za rolnictwa przeradzają się w obchody ocknięcia się wegetacyi i wreszcie zamieniają się na uroczystość zrównania wiosennego. Symbole—jaj, sztucznego deszczu, zastępuje drastyczniejszy charakter wcześniejszego okresu. Święta astronomiczne, nawet przed poznaniem punktów zwrotnych w biegu słońca istnieją, lecz nieustalone, związane z pojawieniem się zieleni, owoców i t. d., jako uroczystości, które rozpatrzyliśmy w pierwszym artykule naszym. Z rozwojem rolnictwa i filozofii sił kosmiczno-wegetacyjnych, opracowywanej dopiero w tym okresie kultury, nabierają one wykończenia i pozyskują nowe rysy.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Leon Dembowski: *Moje Wspomnienia*, Petersburg, 1898. t. I, str. 38, t. II, str. 441.

Część pierwsza tych wspomnień, stanowiąca tom I wydania książkowego, ogłaszaną była przed kilkunastu laty w *Ateneum*, część druga—w *Bibliotece Warszawskiej*, tu i tam z pewnemi skróceniami, spowodowanemi głównie przez to, jak zaznaczył ich przepisywacz i wydawca Ačr (Adam Rząźewski, zmarły w r. 1885), że rozwlekły tekst ich pierwotny, przechowywany w bibliotece polskiej w Paryżu, zająłby w druku prawdopodobnie tomów z dziesięć, a pożytek byłby niewielki, gdyż język w niektórych miejscach zaniedbany niesłychanie, ciągłe powtarzanie jednych i tych samych zdarzeń, oraz notatki spisywano w sposób zawiły, czynią, iż często niepodobna docieć, o co pamiętnikarzowi właściwie chodziło. Rząźewski co się dało uporządkował, obciął —resztę usunął. Nadto, w samym oryginale rękopisu, składającym się z czterech ogromnych foliałów, zaszła przerwa nader znacząca: jeden z najważniejszych okresów pamiętnika — od r. 1808 do 1831 — „uroniony został,“ nie wiedzieć z czyjej winy.

To, co ocalało i weszło do dwutomowej całości obecnej, ma wartość nader różnolitą. Dembowski, urodzony w r. 1789, skoligacony był przez matkę z domem Czartoryskich, otrzymał na dworze puławskim wychowanie, jak na owe czasy, stosunkowo świetne i wcześnie powołany został do służby publicznej; już za Księztwa Warszawskiego cieszył się stanowiskiem dość wybitnem, w r. 1817 wybrany został na posła z powiatu Kazimirskiego, otrzymał w r. 1829 senatorską godność kasztelana, w r. 1831 piastował nawet urząd ministeryalny (na wydziale skarbu); stał więc u wielkiego ołtarza, widział dużo, słyszał jeszcze więcej. Ale do spisywania wspomnień zabrał się dopiero około 71 roku swego życia (w r. 1860), a lubo słabnącą pamięć sowicie podpierał pracami skrzętniejszych swoich poprzedników w zawodzie publicystycznym, to jednak (zwłaszcza w tomie II) więcej z tej erudycyi skorzystała polemiczna, niż faktyczna strona pracy.

Początki tomu pierwszego zajęte niemal wyłącznie długimi wywodami heraldycznymi, w których nożyce Rząźewskiego niemało miały do roboty. Heraldyka suto przesiana anegdotami, w rodzaju następującej: „Matka moja Konstancya z Narbuttów wychowywała się łącznie z księżniczkami Teresą i Maryanną (Czartoryskiemi); w r. 1784 Maryanna poślubiła Ludwika księcia Wirtemberskiego... Panował wtedy jeszcze Fryderyk II, nieosobliwy wielbiciel płci pięknej. Młodą jednakże księżnę Wirtemberską o tyle polubił, że jej ofiarował bogaty dar bransoletek z solitérów, przeszło 100,000 złp. wartujący.“ Idą dalej wzmianki familijne tej np. osnowy: „Kiedy się rozpoczęła kampania targowicka, król Stanisław listem z d. 12 lipca 1792 polecił mojemu ojcu zgromadzić żywność i furaż dla armii księcia Józefa w Dubience...“ List ten pamiętnikarz przytacza w całości, jako dowód, że zlecenie dane zostało jedynie dla zasłonienia się i okazania, „iż myślano coś o wojsku.“ W ogólności, szczegółów do obrazu obyczajów i trybu życia domowego po dworach w końcu wieku XVIII pełno w tej pierwszej części „Wspomnień“ — ale, żeby módz to powiązać w całość jakąkolwiek, potrzebaby i czasu i odwagi... Mieszanina czasów okropna. Mowa np. o wojnach napoleońskich z Austryą przed r. 1809; naraz: „kiedym w r. 1840 zwiedzał zamek cesarski w Wiedniu itd.“ I znów zaraz rzeczy godne zapamiętania lub charakterystyczne: „W r. 1801 matka przepędzała zimę w Warszawie. Zawiozła tam moją siostrę, aby ją kształcić w rysunkach pod kierunkiem *pana* Norblin, Francuza rodem, lecz Polaka sercem, odkąd ożeniwszy się z Polką, krewną p. Wojcickiej i Wierzbickiej, w Polsce życie przepędzał. Rysował on bardzo dobrze i malował olejnie pięknie. Sufit w świątyni Arkadyi (pod Łowiczem) i konie na suficie sali żółtej w zamku warszawskim jego są dziełami. W mniejszych utworach pędzel jego przypomina sposób Boucher i Watteau. Szczególnie drzewa wyobrażał wysokie i cienkie, liści nie wykończał... Zima ta była nadzwyczajnie ostra“ itp...

Dwór w Puławach, jego festyny, zajęcia codzienne w początkach wieku XIX, odwiedziny znakomitszych gości, opisane zostały nieco dokładniej, regularniej, chociaż zawsze w akompaniamencie tysiąca przygód pobocznych, tej treści np., że senator Iliński, posiadacz Romanowa na Wołyniu, żył z przepychem, nieodpowiadającym zasobom majątkowym. „Prócz licznej muzyki utrzymywał trupę aktorów włoskich, kupił za 10,000 dukatów słynnego ogiera angielskiego, Dyomeda, który jadał w marmurowym żłobie, a sztychy, wyobrażające jego kształty i rysy, po całym świecie rozsyłano...“ Albo też: „Stanisław Zamojski, ordynat, pojął za małżonkę córkę p. Granowskiego, któren to Granowski otrzymał po kanclerzu Czartoryskim starostwo przybysławickie, a w Lublinie podczas trybunałów niesłychanych dokazywał rzeczy: pomiędzy innemi przy pochodniach wyprawiał po ulicach przejażdżki w stroju Adamowym...“ Sławny później — około r. 1856—60 — Klemensów, rezydencyę ordynatów Zamojskich, zaczęto dopiero wtedy stawiać, plany do pałacu i ogrodu układał budowniczy Francuz... Stanisław Zamojski sprowadził z Anglii i Paryża meble — i to wszystko w pakach oczekiwało na wykończenie gmachu.“

Portrety prawie wszędzie wyśmienite, nieraz doskonałe. „Ignacy Potocki był wzrostu wysokiego, włosy nosił zaczesane z czoła w tył głowy, pudrowane i z harcapem. Twarz zwykle wesoła, nos prosty, cokolwiek przygruby, oczy niebieskie, łagodne. Mimo że cierpiał na podagrę, zawsze się nosił w pończochach i trzewikach, a krótkie spodnie i kamizelka były aksamitne czarne, frak zaś zawsze niebieski.“ „Franciszek Karpiński był czas jakiś mentorem księcia Dominika Radziwiłła. Nizki, krępy, nos miał pałkowaty i włosy nosił niepudrowane z wielką księcia feldmarszałka Czartoryskiego zgryzotą. Uprzejmy i rzadkiej słodyczy, w obejściu prostoduszny, nic w powierzchowności jego nie odkrywało ducha poetyckiego, ani egzaltacyi.“ „Ignacy Tański, ojciec pani Hofmanowej, długi czas spędził w Puławach (z żoną swoją, Czempińską z domu, z siostrą jej panną Katarzyną i córkami Aleksandrą i Katarzyną): jak go poznałem, był już siwy, dość gruby i nizki, rysy miał regularne, ale z pozoru nie wyglądał także na poetę“ „Onufry Kicki, koniuszy koronny, przyjaciel Stanisława Augusta, blizki sąsiad Czartoryskich (mieszkał w Rykach) był wysoki, łysy, przystojny, uśmiech miał miły i pełen dobroci; jedyną jego przywarą była pasya opowiadań zmyślanych — plótł duby smalone i sam śmiał się z nich najpierwszy; w Rykach wiecznie czytał Dykcyonarz Movrego i innej książki w pokojach jego nie było.“ „W Warszawie widziałem Ludwika XIII z księciem Angoulême i ks. Berry: król francuski bardzo otyły, toczył się raczej wahając, aniżeli chodził; ks. Angoulême chudy, a ks. Berry barczysty, czerwony i pokryty krostami na twarzy.“

Wobec pełni, a nawet przepełnienia opisów, dotyczących rodziny Czartoryskich, okres Napoleoński, szczególnie zaś zjawienie się wielkiego wojownika na widowni wschodniej, wyglądają kuso, szkicowo, marnie. Jest to gatunek relacyi żywcem, rzekłbyś, przepisanej z obszerniejszego jakiegoś podręcznika. Dembowski miał pod ręką „Historyę“ Thiersa i olbrzymi ten materyał widocznie go przygniatał. Gubiąc się w perspektywach rozległych, pamiętnikarz jakby zapomniał o farbach, któremi nieraz wybornie posługiwać się umie, gdziekolwiek chodzi o drobniejsze sprawy lub rzeczy. Część ta „Wspomnień“ (koniec tomu I) nie może stanąć do porównania... nawet ze znanymi „Obrazami“ Falkowskiego, pomimo że Falkowski Napoleona

nie widział i pierwszego jego pobytu w Warszawie nie był świadkiem.

Co do tomu II, zajęty on jest wyłącznie rokiem 1831. Materyał to obfity i dla dziejopisarza wypadków poprzedzających rozpoczęcie walki orężnej — ważny, jakkolwiek i tu bez konfrontacyi niemożliwy do przyjęcia. Co do samych operacyj wojennych, nad któremi Dembowski się rozwodzi nieraz bardzo szeroko, z pozorami fachowego znawstwa, krytycznie nie może być o tem mowy. Kilkanaście ustępów, odnoszących się do finansów, administracyi i niektórych ustaw sejmowych, zostanie zapewne uwzględnionych w literaturze historycznej jako warvanty lub objaśnienia, obok całej masy świadectw i podań, zawartych w dziełach polskich, na które się powołuje generał Puzyrewski w swej „Wojnie rusko-polskiej“ (Mochnacki, Prądzyński, Barzykowski, Morawski, Mierosławski i in.). *J. T.*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Precz z szablonem!

Gdy publiczność na drugiem przedstawieniu „Dzikiej kaczki“ w sali Muzeum zarzucała kwiatami amatorów i to nie kwiatami towarzyskiej grzeczności, lecz kwiatami żywego uznania, nikomu na sali nie przyszło do głowy rzucić bodaj jedną różę na pierś tego, który był sternikiem nawy owego powodzenia i dzięki niepospolitemu talentowi reżyserskiemu oraz doświadczeniu nabranemu w zdrowem artystycznem środowisku, zdołał swobodnie pokierować nawą między ławicami różnych najeżonych trudności, tam, gdzie inni u nas nie mają odwagi nawet z brzegu ruszyć. Dzielny ten sternik, który z okrzykiem prawdziwego artysty: „Precz z szablonem!“ objął po p. Gawalewiczu reżyseryę trupy amatorskiej, występującej na rzecz warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, nie pokazawszy nam tego wieczoru ani twarzy swojej, nie wypisawszy na afiszu swego nazwiska, wycisnął jednak na każdej scenie, na każdym epizodzie herb, którym ma prawo się pieczętować: w polu tego herbu zamiast kabalistycznych hieroglifów widnieje napis: „artyzm“. Słowo to czytaliśmy wszyscy, natomiast nikt może nie zdawał sobie sprawy z tego, że słowo to owego wieczoru wykładało się: Śliwicki.

Czem jest „Cyranka“ lub „Dzika kaczka“? Jakie stanowisko zajmuje w literaturze chwili — wiemy; czem będzie w przyszłości — na to odpowie właśnie owa przyszłość. O utwór ten trwa spór i bynajmniej nie zamierzamy go rozstrzygać. Wiemy wprawdzie aż nadto dobrze, że gdyby jaki nieszczęsny autor polski ośmielił się stworzyć coś podobnego, to powiedzianoby: 1) że napisał rzecz mizerną; 2) że napisał rzecz niemoralną; 3) że zasłużył na publiczną chłostę i wyświecenie z warszawskiego państwa literatury; 4) że uczynił zamach stanu na ducha naszych ideałów i przeto nawet imię jego powinno być wymazane z rzędu imion obywatelskich. Ale dla odważania zasług swoich i obcych posiadamy dwie wagi. Gdy rzucimy na szalę nazwisko zagraniczne, odejmujemy z wagi szczyptę na rachunek respektu; gdy padnie na szalę nazwisko swojskie, dodajemy do wagi dwie szczypty na rachunek naszego przypuszczalnego nieznawstwa. Kto posiada dwie wagi, o tym mówi się wprawdzie, że ma wagę „niesprawiedliwą,“ ale... wszyscy, wszyscy, wszyscy ojcowie, wujowie, stryjowie, wszystkie dziady i pocioty teatru, musieliby uderzyć się zbiorowo w piersi, lepiej przeto kazać się bić w piersi nieurodzonej literaturze dramatycznej, niż tym, którzy zajmują się spędzaniem jej płodu...

A tymczasem słuchamy Ibsena. I co dziwne! Lepiej robimy, niż słuchając wszystkich francuskich autorów „reguły trzech,“ jak ten rodzaj twórczości trafnie określiła Mellerowa.

Śliwicki musiał sobie widocznie powiedzieć, że nie a nie go nie obchodzi Ibsen, tylko literatura; a w literaturze dnia dzisiejszego Europa pisze to nazwisko wielkiemi czcionkami. Niech więc Warszawa zobaczy nareszcie jakiś utwór tego szatana norweskiego. Tak! Niech zobaczy! Najtrudniej jednak „zobaczyć.“ Czemu? Bo łudzimy się, mniemając, że z podniesieniem zasłony znikła z przed oczu naszych kurtyna, że pomiędzy nami a sceną zaległo tylko przezrocze świętego, przenikliwego powietrza, że oko nasze nie ulega żadnym złudzeniom. Niestety! Pomiędzy kinkietami a widzem wisi rozpięta gruba, ordynarna, wyszarzana zasłona szablonu gry zawodowej, sprawiająca, że nieraz widzimy nie utwór pana A. lub B., lecz karykaturę mizerną jego utworu; do tego zaś stopnia zatraciliśmy „poczucie nieprawdy,“ że z pianą na ustach rzucamy się na autora i na jego barki wkładamy całą odpowiedzialność za winy reproduktorów. Zrozumiał to p. Śliwicki i przedewszystkiem postarał się o to, aby zedrzeć tę zasłonę szablonu z przed oka widzów, abyśmy ujrzeli na scenie nie zręcznych aktorów, lecz ludzi, ludzi żywych; aby oko nasze padło nie na scenę, lecz na poddasze Ekdalów, aby sztuka do tego stopnia się nią stała, abyśmy jej nie czuli jak soli w rosole lub cukru w herbacie, na których brak tylko zwracamy uwagę. Czy Śliwicki dopiął celu w zupełności? On sam tego mniemać nie może; wie natomiast, że dopnie celu, bo go już osiąga. To, cośmy widzieli na obu ostatnich przedstawieniach, wskazuje niezbicie, że każdy amator nie chce być aktorem na scenie, lecz człowiekiem, a jeśli mu się to nie udaje w zupełności, to uda mu się to na pewno, skoro w pracy nie ustanie i tak uczciwie pracować będzie, jak dotąd. Każda rola była grana z planem, każdy charakter obmyślany, a zestrój gry, efektów, zwrotów, wyłonień myśli, odchyleń psychologicznych — bardzo mało pozostawiał do życzenia. Zbyt wiele szacunku artystycznego nabraliśmy dla dzielnej trupy, o której przed rokiem w artykule „Teatr amatorski“ marzyliśmy dopiero, a dziś widzimy ją w pełnej organizacyi, abyśmy o pewnych wadach mówić nie mieli. Według nas, panna Popowska ma wadliwie rozwiniętą wymowę, o odcieniu nosowym i z całą energią należałoby wziąć się do jej reorganizacyi, jeżeli ta wymowa nie jest taką wskutek chwilowej niedyspozycyi gardła, czy nosa; natomiast gra, mimika, ruchy — nietylko nie pozostawiały nic do życzenia, ale tchnęły świeżością natury, niespaczonej gorsetem reguł; podkreślam dyskretną grę krótkowidztwa, wdzięczenie się do ojca wdzięczeniem się córki — bo u nas zazwyczaj aktorka mizdrzy się na scenie do ojca, jak kurtyzana do pracodawcy. Pani Moes była istotnie tragicznie głupią, dramatyczną prostaczką, a okrzyk jej: „nie wiem!“, gdy mąż zapytuje ją o ojcowstwo córki, wywarło na nas wrażenie bardzo silne. Może zbyt książkowem było natomiast powiedzenie do Grzegorza Werlego: „niech panu Pan Bóg to wybaczy,“ gdy on po piętnastu latach wywlókł na jaw to, co ostatecznie mogło drzemać w niepamięci; ale powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, iż za ten ustęp nie p. Moes powinna być pociągniętą do odpowiedzialności, ale Ibsen... chociaż jest tak głośnym i chociaż nie jest autorem swojskim.

Gdybym chciał podnaszać zalety gry, musiałbym dla wymienienia nazwisk wszystkich amatorów z p. Stanisławskim na czele zapisać kilka fejletonów, co uczyniłbym z prawdziwą przyjemnością, gdyby nie to, że pismo zajmuje się wszystkimi uchwytnymi objawami życia społecznego, a nie samymi teatrami, aczkolwiek — w dobrym teatrze patrząc na życie, z ulgą niekiedy zapominamy o życiu...

...O ile go nam nie przypomni fatalny przekład. Zanotowaliśmy na prędce kilka kwiatków: „wartałoby,“ „nie mam ochotę zastrzelić inną zwierzynę,“ „skandal,“ „nie więc, gdyż wszystko jest“ (frazesu, którego żadną miarą zrozumieć nie mogliśmy; po niemiecku brzmi to: „Nichts — denn alles ist da“), „ta cała rzecz to jeszcze w lesie,“ frazes zapewnie popularny w ojczyźnie Ibsena, mający w naszym języku kilka, nieznanych widocznie tłomaczowi odpowiedników.

Andrzej Niemojewski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Koncerty Paderewskiego.

(Dokończenie).

Mniej korzystnie przedstawił się Paderewski w sonacie fis-mol Schumanna. Nie można w zupełności za to obwiniać artysty, bo jeśli wykonanie nie dorównywało powyżej wymienionym dziełom, to tylko z tej prostej przyczyny, że sama kompozycya niezmiernie wydłużona — jak największy koncert z orkiestrą — i nieproporcyonalna w rozmiarze dwóch tematów (część pierwsza: Allegro vivace) nużyła słuchaczów często bądź jednostajnością rytmu, bądź też tematem, powtarzającym się w różnych odmianach modulacyjnych i kontrapunktycznych.

Nie można powiedzieć, że to jest utwór mroczny w układzie, przeładowany wtrąconemi zdaniami, w których Schuman doświadczał swych sił jako kompozytor i reformator, jak niektórzy utrzymują. Jedynie tylko pierwszy temat w „Allegro vivace“ jest bardzo wydłużony, a w ostatniej części „Allegro un poco maestoso“ tematy o rytmice zmiennej i często modulujące stanowią ujemną stronę formy. A jeżeli znajdujemy w początku sonaty „Introdukcyę,“ a w pośrodku „Scherza“ — „Intermezzo i recitativ,“ to jeszcze nie zaciemnia dzieła, ani też nie stanowi reformy. Takie odstępstwa od zasadniczych form, że tak powiem, elementarnych — spotykamy obficie nawet już u Beethovena.

Forma tej sonaty, chociaż jasna, lecz przewlekła, w motywach ciężka, a tem samem nużąca, nie ocala jeszcze dzieła.

Czyżby Paderewski jedynie dla melodyjnej Introdukcyi i Aryi (część środkowa) miał ten utwór grywać?

Wielką część programu każdego z dwóch ostatnich koncertów stanowiły utwory Chopina. W tych dziełach, szczerze natchnionych, Paderewski mógł z całym swym zasobem najdelikatniejszych odcieni, uwydatnić cechy własnego indywidualizmu.

W takich kompozycyach, jak „Rapsodye“ Liszta, lub też jego transkrypcye, gdzie trzeba wiele siły materyalnej, Paderewski wykazał dużo energii, a nawet za wiele, akordy bowiem, uderzane z największą siłą, traciły często naturalne brzmienie. Bardzo być może, że instrument do tego się przyczynił. Pomimo różnego balastu, jakim przepełnione są kompozycye Liszta, owe figury popisowe, gamy *glissando* i inne „łamańce,“ dziś uważane już za figle niesmaczne, niemające żadnego związku ze sztuką poważną, Paderewski potrafił swym powściągliwym temperamentem ocalić od banalności i poniekąd zatrzeć owe beztreściwe ozdoby, nadając takim dziełom miarę estetyczną, która cechuje każdego głębiej myślącego artystę-muzyka.

Ze swoich utworów Paderewski wykonał znaną nam „Fantazyę polską“ z towa-

przyszeniem orkiestry. Kompozycya ta wobec pewnej swojskości motywów, świetnego przeprowadzania partyi fortepianowej i wreszcie barwnej i świeżej instrumentacyi, nosi techniczne ślady kompozytorów ostatniej doby.

Oto wszystkie niemal główniejsze utwory, jakie Paderewski wykonał podczas trzech koncertów.

Należy się też słówko rzec i o samej technice.

Do pierwszego jej stopnia należą biegniki, a więc wszelkiego rodzaju gamy w tercyach, w sekstach, w oktawach; akordy łamane (pasaże) itd., użyte raz jako *legato*, lub też *staccato*.

W tym pierwszym stopniu techniki fortepianowej Paderewski nie imponuje, bo jej nigdy na pierwszy plan nie stawia, służy mu ona tylko za środek, lecz nie za cel.

Wypracowanie wyżej wymienionych biegników od najcichszego szeptu (pianissimo) przez wszystkie stopnie pośrednie, do najsilniejszego wybuchu dźwięków (fortissimo) — oto drugi stopień złożonej techniki.

W tym dziale Paderewski jest nieporównany, zwłaszcza w tych szeptach zaledwie dosłyszalnych; a *fortissimo* wskutek subtelnego stopniowania także zaznacza się wybitnie.

Prócz wyżej wymienionych głównych właściwości zaznaczę jeszcze sposób dotknięcia — uderzenie klawiszów palcami.

Ta strona techniczna jest w ścisłym związku z indywidualnością, wypływa bowiem z poczucia kształtów muzycznych. Ileż to razy artysta musi się natrudzić, ażeby zdobyć owo *dotknięcie* (uderzenie), zgodne z jego osobistem pojmowaniem plastyki muzycznej.

Otóż ten ostatni rodzaj techniki stanowi w grze Paderewskiego najbardziej interesującą stronę jego artyzmu. Stąd melodye o charakterze lirycznym pod jego palcami brzmią jakby żywa mowa, owiana technicznie poetycznem.

Artyzm Paderewskiego najwybitniej zaznaczył się w utworach lirycznych, w formie skończonej, klasycznej z okresu romantycznego. Gdzie nie trzeba imponować siłą demoniczną lub ognistym temperamentem, Paderewski, władając odpowiednią techniką, zespoloną z jego duchowym ustrojem, stworzył piękne i skończone obrazy muzyczne, pełne poetycznego uroku.

Ig. Pilecki.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. W. Łoziński: „Zaklęty dwór," 2 tomy, wydanie nowe (309 i 322 str.). — Gebethner i Wolff.

— K. Junosza: „Wdowa z placem." obrazek z bruku (124 str.). Wilno. Zawadzki.

— H. Sienkiewicz: „Pisma," tom I (Szkice węglem, Janko muzykant, Stary sługa, Hania), dodatek do *Tygodnika Ilustrowanego*.

— A. Gruszecki: „Szarańcza," 3 tomy (150, 168 i 169 str.). Dodatek do *Gazety Polskiej*.

PODRÓŻE. C. F. Gordon-Cumming: „Życie w Chinach," przeł. W. Wolski (184 str.). „Bibliot. dzieł wybor."

— K. Rengarten. „Pieszo do Chin" (184 str.). „Bibl. dzieł wybor."

ESTETYKA. A. G. Bem: „Teorya poezyi polskiej" z przykładami w zarysie analityczno-dziejowym (415 str.). Petersburg, Grendyszyński.

TANIE WYDAWNICTWA. A. Ch.: „O życiu i pismach F. Karpińskiego" (36 str.).

ENCYKKOPEDYA Orgelbranda, z. 65 (Czeski les).

W DALI.

Łódź. Przy miejscowym oddziale Towarzystwa przemysłu i handlu powstała sekcya farbiarska i apreturowa. Niedawno na jej posiedzeniu, z powodu częstych zatargów między fabrykantami a właścicielami farbiarń i apretur, postanowiono stworzyć sąd rozjemczy, którego uchwały byłyby obowiązujące dla obu stron; w razie sporu, eksperci fachowcy oceniają pretensye. Gdyby sprawa nie dała się rozstrzygnąć przez sąd rozjemczy i zaszła potrzeba zwrócenia się do sądu karnego, sekcya zajmie się przygotowaniem materyału dowodowego. Opłata za sąd będzie pobierana w wysokości 10 rb. od obu stron. Uchwalono zawiadomić przemysłowców cyrkularzem o utworzeniu sekcyi i sądu rozjemczego oraz zaprosić właścicieli farbiarń i apretur na członków. Poruszono następnie sprawę podatku od kotłów parowych. Jak wiadomo, pobierany on jest od metra powierzchni kotła. Postanowiono porozumieć się z sekcyą techniczną, czy nie możnaby znaleść innej normy podatkowej. Narady te będą miały charakter czysto teoretyczny, gdyż podatek już jest wprowadzony. Roztrząsano sprawę nowego podatku przemysłowego. Farbiarnie i apretury płacą według nowego prawa większy podatek, niż przemysłowcy włókienni, dający im robotę. Proponowano porozumieć się w tej sprawie z przemysłowcami okręgu moskiewskiego i wysłać odpowiednie podanie do ministra skarbu.

Lublin. Dnia 11 stycznia otwarto ważną dla ziemian i handlu zbożowego instytucyę, magazyny towarowo-zbożowe w Lublinie. Powstały one z inicyatywy i funduszów stowarzyszenia ziemian. Wzniesiono je niedaleko dworca kolejowego w pobliżu fabryki cementu „Firlej." — Główny budynek obejmuje dwa gmachy: jeden, mający suteryny, 2 piętra i poddasze, a nadto drugi obszerny magazyn parterowy; to są pomieszczenia na składy — obok których są budynki, mieszczące kancelaryę i machiny. Koszt tych budowli uczynił 70,000 rubli. Magazyny, które łączą się z szynami kolei żelaznej, mogą pomieścić 12,000 korcy zboża, są oświetlane elektrycznością, która także porusza windy. W budynku parterowym złożono już na składach pszenicę i machiny rolnicze. Spółka magazynów zawiązała się z kapitałem 150,000 rubli i zapewniła sobie poparcie finansowe filii Banku handlowego w Warszawie, ktora będzie udzielała zaliczeń na zboże do czasu, gdy stowarzyszenie zamieni się na towarzystwo akcyjne z warrantami.

Biała. Rozległe dobra bialskie przeszły w tych dniach z rąk ks. Hohenlohe do p. Stanisława Skarzyńskiego. Piękna ta fortuna obejmuje około 15,000 morgów. Niegdyś należała do Piotra Janowicza Białego, wojewody trockiego, dziedzica Ołyki i Nieświeża. Był on założycielem miasta Białej. Dobra te były następnie własnością Illiniczów, od których r. 1568 nabył Radziwiłł Sierotka. Potem drogą spadku przeszły one do Wittgensteinów i wreszcie do ks. Hohenlohów.

Kalisz. W powiatach pogranicznych gub. Kaliskiej już obecnie rozpoczęły się przygotowania do wędrówki robotników wiejskich za granicę. Dawniej ruch ten zaczynał się później, przyspieszenie obecne zapowiada znaczne zwiększenie wychodźtwa w r. b. pomimo to, że w r. z. ujawniło się wyzyskiwanie robotników polskich przez rolników niemieckich, wstrzymywanie wypłaty zarobku itd. Z tego powodu właściciele majątków w pow. pogranicznych już obecnie zaczynają myśleć o tem, skąd sprowadzą robotnika. Zazwyczaj przywożą go z Galicyi. Szczegóły te podaje korespondent *Kuryera War.*

Jekaterynosław. Korespondent *Kuryera Warsz.* podaje następujące wielce ciekawe szczegóły o naszych rodakach. „Wielki rozrost przemysłu żelaznego na południu Rosyi wysunął ostatnimi czasy na widownię publiczną kilku naszych rodaków, którzy bądź specyalnością naukową, bądź zdolnościami administracyjnemi zasłynęli, a przedewszystkiem pracą niezmordowaną i uczciwą. Do tych należą pp.: Marcin Szymanowski, Ignacy Jasiukiewicz, Henryk Kolberg, Feliks Jabłkowski i inni. Obcokrajowcy i kierownicy nowozakładanych przedsiębiorstw w krainie żelaza starają się naśladować naszych rodaków, których imiona przytoczyliśmy wyżej, poprostu udając się do nich po wzory i radę. W ostatnich czasach szczególnie zabłysnął zdolnościami administracyjnemi młody i utalentowany p. F. Jabłkowski, z Kaliskiego rodem. Niedawno był głównym buchhalterem fabryki metalurgicznej w Taganrogu, a obecnie jest pomocnikiem głównego dyrektora takiej samej fabryki w Marjupolu. Przed półrokiem powołano go do zaprowadzenia ładu i objęcia steru w wewnętrznej organizacyi wielkiego przedsiębiorstwa metalurgicznego, założonego przez Amerykanów, których poglądy na ludzi i rzeczy niezupełnie nadają się do stosunków, panujących na południu Rosyi. Z zadania swego p. J. wywiązał się jak najlepiej w krótkim stosunkowo czasie, tak iż dziś pod względem ładu i porządku fabryka metalurgiczna pod Marjupolem stała się wzorem dla innych. W rzeczy samej, z całego zagłębia donieckiego zjeżdżają się tu inżenierowie i buchhalterzy, aby fabrykę amerykańską obejrzeć i zasięgnąć rady u p. Jabłkowskiego. Jeżeli dodamy, że większość rodaków naszych, stojących u steru wielkich przedsiębiorstw, nie pozbawiona jest i uczuć społecznych, możemy być pewni, iż działalnością swą w tych stronach nie poniżą, ale podniosą imię nasze w oczach ludności miejscowej."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Odesie powstał oddział Towarzystwa ochrony dzieci przed znęcaniem się.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż niedoszły d. 19 grudnia r. z. wieczór Mickiewiczowski w stowarzyszeniu Funduszu literackiego odbędzie się d. 18 lutego według pierwotnego programu.

— Departament kolejowy ułożył nowe przepisy dla kobiet, pracujących na kolejach. Wymieniono, w jakich wydziałach mogą one zajmować posady. W telegrafie mogą pełnić tylko dzienną służbę, od dyżurów nocnych są zwolnione. W wydziale ruchu mogą zajmować posady tylko w kancelaryach. Jak dotąd, kobiety na kolejach zajmują etaty nie wyższe nad 800 rb. rocznie.

Szkoły. W Suwałkach przy domu pracy otwarto szkołę niedzielno-rzemieślniczą, do której wstąpiło 44 uczniów.

— Postanowiono wznieść w Warszawie osobny gmach, według wszelkich wymagań hygieny i techniki, na szkołę realną, która obecnie mieści się w dwu lokalach nieodpowiednich i niedogodnych.

Zdrowie publiczne. Szpital w Tworkach będzie rozszerzony o 74 miejsca.

— Ażeby zwiększyć liczbę miejsc w szpitalach warszawskich, postanowiono usunąć z nich chorych chronicznie i umieścić w barakach cholerycznych na Pradze. W szpitalu Dzieciątka Jezus ta kategorya jest bardzo znaczna, wypada tam 75 chronicznych na 500 wogóle chorych. Średnio we wszystkich szpitalach w stosunku do ogóły jest 15% chorych chronicznie.

— Inspektor lekarski szpitalów warszawskich poruszył sprawę utworzenia specyalnego urzędu konsultanta w pokojach położniczych, utrzymywanych kosztem miasta.

— W Ciechanowie otwarto lecznicę i szpitalik.

— P. oberpolicmajster m. Warszawy zaproponował zarządowi miejskiemu wprowadzenie do budżetu miasta kwoty 1,500 rb. na urządzenie stacyi do szczepienia ospy ochronnej. Magistrat uwzględnił żądanie.

Zapis. Zmarły w Warszawie ks. Stojakowski, zapisał na rzecz zakładu sierot chłopców im. Stanisława Jachowicza w Warszawie przy ul. Freta 38,000 rb. Suma ta stanowić będzie fundusz żelazny, zabezpieczony na jednej z nieruchomości warszawskich na pierwszym numerze hypoteki, bądź bezpośrednio po Tow. kred. miejsk., lub też nieobciążonej pożyczką tej instytucyi, wedle uznania wydziału sierot warszawskiego Tow. dobroczynności. Odsetki od tego kapitału, a mianowicie: a) od sumy 28,000

rb. mają być corocznie użyte na bezzwrotną pomoc naukową i zapomogi dla sierot chłopców zakładu im. Stanisława Jachowicza do czasu pozostawania ich pod opieką i kontrolą tegoż zakładu; b) od sumy 10,000 rb. mają być corocznie użyte na wynagrodzenie ks. kapelana obrządku rzymsko-katolickiego za stałe spełnianie przez niego potrzeb duchowych dla sierot chłopców zakładu im. S. Jachowicza. Fundusz, tworzący się corocznie z odsetków od sumy 28,000 rb. z powyższego kapitału żelaznego na pomoc naukową i zapomogi, wyznacza się bezzwrotnie chłopcom z tego zakładu wyłącznie i jedynie zdrowym, zdolnym, moralnego prowadzenia, wyznania rzymsko-katolickiego, wedle uznania i za wspólnem porozumieniem się opiekuna głównego i starszej siostry miłosierdzia św. Wincentego a Paulo z zakładu sierot chłopców im. Stanisława Jachowicza. Pomienione osoby decydują we wskazanym względzie stanowczo i ostatecznie.

Dobroczynność. Postanowiono zebrać ofiary na budowę domu przytułku dla 300 chłopców przy ul. Wiślanej.

Wystawy i zjazdy. Między 16 a 23 kwietnia r. b. odbędzie się w Odesie czwarty zjazd wodociągowy.

— W Radomiu odbyły się narady, na których ostatecznie postanowiono urządzić wystawę rolniczą we wrześniu. Złożono już na fundusz gwarancyjny 2,000 rb. Prezydent miasta przyrzekł wyjednać pożyczkę z kasy miejskiej w kwocie 4—5 tysięcy rb.

— Zjazd przedstawicieli towarzystw ubezpieczeń wzajemnych w programie swym umieścił kwestyę opodatkowania wszystkich towarzystw ubezpieczeń celem stworzenia funduszu na utrzymanie prywatnych straży ogniowych i kursów praktycznych strażackich po wsiach i miastach.

Koleje i komunikacye. Budowa nowej linii kolejowej przez Owrucz do Kowla jest już postanowiona. Roboty rozpoczną się na wiosnę. (*Narod*).

— Ponieważ po otwarciu kolei Tomaszowsko-Zamojskiej spodziewany jest większy ruch towarowy, więc ministeryum komunikacyi poruszyło sprawę budowy drugiego toru na linii kolei Nadwiślańskich od Kowla do Mławy.

Katastrofy. Pociąg pocztowy w drodze z Władykaukazu do Petrowska rozbił się pomiędzy Alchanjurtem a Samaszkinem. Trzech ludzi pokaleczonych, wagony zdruzgotane. Przyczyna wypadku — rozkręcenie szyn.

— D. 24 stycznia między Brześciem a Terespolem, na moście przerzuconym przez Bug wykolcił się pociąg towarowy. Przyczyną wypadku był wół stopowy, który wyskoczył z wagonu i wpadł pod koła.

Przemysł i handel. Od lutego r. b. ustaje wypuszczanie w obieg banknotów z kas rządowych Banku państwa; przytem nie będą one zastępowane biletami nowego wzoru. Obecnie ukazały się w obiegu fałszywe papierki jednorublowe, dosyć zręcznie podrobione. Skutkiem tego, należy przyjmować papierki z wielką ostrożnością.

— Towarzystwo kredytowe m. Łomży rozpoczęło działalność swą 8 stycznia.

Zmarli. Stefan hr. Zamojski, znany poseł i mąż polityczny w Galicyi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Января 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.